MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 54 WARSZAWA, 11 GRUDNIA 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

REFLEKSJE

OSTATNIE manifestacje uliczne w miastach polskich, skierowane przeciw ludności żydowskiej, nasuwają sporo refleksyj. Należy sobie jasno zdać sprawę z ich znaczenia, gdyż nigdzie tak łatwo, jak właśnie w zakresie zagadnień, dotyczących goszczenia u nas kilku miljonów żydów, nie jesteśmy skłonni do wydawania sądów poomacku i do działania po linji najmniejszego oporu. To, co się u nas na tem tle dzieje od kilkunastu miesięcy, nie jest zjawiskiem mechanicznem. Każdy, komu dane jest patrzeć na rzeczywistość wprost, bez przydymionych szkieł, musi stwierdzić znaczny zwrot w ustosunkowaniu się ogółu polskiego do kwestji żydowskiej. Najdobitniej dają temu wyraz sami żydzi w swej prasie, choć usiłują zaciemnić przyczyny tego zjawiska, by nie szerzyć popłochu wśród żydowskich mas. Posługują się rozumowaniem nader uproszczonem.

Oto jeszcze niedawno temu żydzi czuli się w Polsce, jak w domu, przyjmowano ich bez uprzedzeń, w większości polskich ugrupowań politycznych, zapraszano ich do współpracy, były nawet czynniki oficjalne, przyrzekające im wielkie obszary ziemi na kolonizację rolną.

Nadawano setkami tysięcy obywatelstwo obcym przybyszom żydowskim, a nikt nie protestował zbyt donośnie, zaś ulica zachowywała obojętność i milczenie. A tu nagle zaczyna się zwrot. Nastroje antysemickie wyrastają gdzieś z pod ziemi i rozlewają się szeroko po miastach i wsiach. Co to jest? To chyba dowód — rozumują żydzi w swej prasie — że cały ten ruch jest wywołany sztucznie.

Kierownicy żydów odznaczają się naogół umysłowością logiczną, lecz bardzo nie lubią, nawet wobec samych siebie, przyznawać się do tego, że bieg wypadków idzie w innym kierunku, niż przewidywali. Odsuwają przeto od siebie rzeczywistość i zamiast niej stawiają przed sobą sformułowania pozornie logiczne, choć nierealne. W tem źródło wielu klęsk, które żydostwo ponosiło w przeszłości.

I dzisiaj żydzi nie widzą prawdy. Wszak tylekroć już bywało, że ruchy antyżydowskie w jakimś kraju zaczynały się właśnie w chwili, gdy żydostwo czuło się najbezpieczniej, gdy rozsiadło się wygodnie, pozrzucało maski i teatralne stroje i rozłożyło swoje „bety“ na cudzej murawie. Wtedy jakby z pod ziemi wyrywał się jakiś wiatr, z początku wiejący słabo, lecz później przybierający na sile i dochodzący do mocy cyklonu. Wkrótce kończyła się sielanka, a zaczynała się tragedja narodu żydowskiego, wiecznie ta sama. Przywódcy zakrywali sobie rzeczywistość formułkami, a wicher wiał coraz przemożniej, aż nagle na ratunek było już zapóźno.

I dzisiaj w Polsce prasa żydowska głosi, że nastrój antyżydowski — to sztuczna robota i domaga się „stłumienia tej agitacji“. Aby przekonać swe rzesze, że w Polsce nic im nie grozi, prasa żydowska jawnie staje w obronie żydów, dokony-

wających zbrodniczych zamachów. Pada iskra na proch jedna, druga, jak w Wilnie czy we Lwowie. A tymczasem w szerokich masach miejskich ujawnia się nagle i niespodzianie wielka ilość nagromadzonego materjału palnego i na butę żydowską ulica reaguje po swojemu. Jednak żydzi ciągle jeszcze nie chcą wierzyć. Dolewają oliwy do ognia, przy pomocy swych organizacyj wywrotowych usiłują nadać ulicznym manifestacjom inny charakter, chcą odwrócić uwagę od siebie. Ciągle zaufani w swe formułki, niedoceniają sił potencjalnych przeciwżydowskich i mniemają, że uda im się ulicę zanarchizować za pośrednictwem ulegających ich wpływom organizacyj komunistycznych i za jednym zamachem osiągnąć dwa cele: odwrócić uwagę od siebie i zastraszyć „antysemitów“ własnem ich dziełem. Oto macie skutki: rzuciliście ulicę na żydów, a ona poszła za hasłami komunistycznemi. I cieszą się żydzi nadzieją, że pomoże im kryzys gospodarczy, nędza i bezrobocie, ich sprzymierzeńcy w zamierzonej dywersji.

A tymczasem nigdy rachuba żydowska nie była bardziej zawodna, nigdy formułka, pozornie logiczna, nie była bardziej odległa od życia!

Przedewszystkiem kryzys gospodarczy w Polsce przestał już być sprzymierzeńcem żydów. Nie tylko dlatego, że uderza coraz boleśniej w szerokie masy żydowskie, lecz także i dlatego, że otwiera oczy szerokim rzeszom nieżydowskim w Polsce na fakt, iż w kraju bezrobocia i nędzy znalazło się miejsce dla kilku miljonów ludności, niezwiązanej z krajem i naogół żyjącej bezprodukcyjnie na koszt reszty, zabierającej chleb tym, którzy i tak cierpią głód. Gdy nadomiar złego ta pasorzytująca ludność poczyna sobie agresywnie, nic dziwnego, że niechęć otoczenia do niej wzrasta z każdym dniem. Im większa nędza w Polsce, tem mniej w niej miejsca dla żydów.

Tak rozumuje ulica i jest to rozumowanie nie tylko logiczne, lecz i zgodne z rzeczywistością.

Ktoby dziś w Polsce chciał wywołać wśród nieżydowskich mas rozruchy komunistyczne, ten rzuci ulicę na żydów. Jest to bardzo prosty wniosek i powinni go sobie żydzi wysnuć i zapamiętać na długo.

Inna rzecz — i ten fakt może najbardziej odbiera żydom równowagę — że postęp nastrojów antysemickich w kraju wprost rozstraja i rozwala organizacje komunistyczne wśród nieżydowskiej ludności. Wszak robota komunistyczna udaje się tylko wtedy, gdy między żydami a inteligencją oraz szerokiemi masami nieżydowskiemi niema przepaści, gdy żyd ma dostęp swobodny do duszy aryjczyka, gdy agitator żydowski witany jest ufnie przez nieżydowskiego robotnika, czy chłopa. Natomiast wówczas, gdy nastrój ogólny separuje żydów, gdy żydzi tracą zaufanie wśród nieżydowskich mas, gdy powstaje duchowe ghetto, wówczas brak w społeczeństwie drożdży, któreby mogły wywołać na większą skalę ferment komunistyczny. Szerokie masy najdalsze są wówczas od myśli, by własną krwią zdobywać władzę dla żydów.

Byłoby dobrze dla samych żydów, by zdali sobie sprawę z rzeczywistości. Leżałoby w obopólnym interesie, tak polskim, jak i żydowskim, by kwestji żydowskiej w Polsce nie trzeba było rozwiązywać gwałtem. Prowokując odruchy, żydzi postępują tak, jak ten, który podpala własną stodołę, naładowaną zbożem, by wypróbować działanie wynalezionej przez siebie gaśnicy.

HENRYK ROLICKI

GEN. WEYGAND O KRYZYSIE

W WYDAWNICTWIE *„Les Belles Fêtes“* (Flammarion, Paris) ukazała się książeczka (184 str.), napisana przez gen. Weyganda i nosząca tytuł *„Le 11 novembre“*. Zasłużony żołnierz włada piórem w sposób, świadczący o tem, że jeśli został członkiem Akademji Francuskiej, dało mu do tego prawo nietylko to, czego dokonał na placu boju. Każdy przeczyta z pewnością z niesłabnącem ani na chwilę zainteresowaniem opowieść o tem, jak zostało zawarte zawieszenie broni w lesie w Rethondes, jak przyjęto wieść o tym fakcie w Paryżu, jak odbyła się wielka defilada wojsk francuskich i sprzymierzonych przez Pola Elizejskie, wreszcie wyjaśnienie, czem jest rocznica 11 listopada dla Francji...

Gdyby tylko to było w książce gen. Weyganda, wystarczyłoby poinformować czytelnika polskiego o jej ukazaniu się i zalecić jej jaknajszersze rozpowszechnienie. Jest w niej jednak jeszcze coś więcej, a mianowicie sąd o położeniu obecnem w Europie i we Francji, wypowiedziany bardzo dyskretnie i powściągliwie, lecz jasny dla każdego, kto czytać umie i wie o tem, że oficer francuski, będący w czynnej służbie, uważa sobie za obowiązek stać zdala od polityki.

Europa przeżywa głęboki kryzys — powiada gen. Weygand. — Ażeby odkryć właściwe drogi wyjścia z tego kryzysu, trzeba znać jego przyczynę główną. Przesilenie europejskie posiada przyczyny polityczne i gospodarcze. Lecz — zapytuje gen. Weygand — czy nie jest przyczyną najpierwszą, panująca dziś a n a r c h j a m o r a l n a? I odpowiada twierdząco, wskazując jednocześnie, w czem się ta anarchja ujawnia i co wobec niej począć należy.

A więc naprzód w buncie przeciwko obowiązkom względem Ojczyzny:

„... jest wielu takich, którzy nie mają śmiałości mówić o Zwycięstwie i okazywać odczuwaną stąd dumę. Są tacy, co nietylko starają się, by im wybaczono zwycięstwo ostatnie, lecz chcieliby wymazać z kart historji wszystkie zwycięstwa dawniejsze, fałszują więc historję. Chcianoby wmó-

wić, że kraj może być wielkim bez wysiłków i bez poświęceń. Przez mądre zabiegi wychowuje się młodzież obojętną w stosunku do Ojczyzny i buntującą się przeciw temu, co jest jej winna. Nazwę narodowy zaczyna się używać w sensie ujemnym. Wola pokoju jest przeciwstawiana miłości ojczyzny...

Działanie sił obcych, podstępnych i złych, które znamy z r. 1917 i które doprowadziły nas już wówczas na brzeg przepaści, daje się znów odczuwać obecnie. Pacyfizm defetystyczny tego samego stempla... stara się rozbroić Francję".

Co robić wobec takiego położenia?

Trzeba — powiada gen. Weygand — zapytać o to tych, co padli w czteroletniej wojnie na polach bitewnych w obronie ojczyzny. Gdyby mogli mówić, to powiedzieliby te oto rzeczy:

FRANCE D'ABORD!

„Oddali się duszą i ciałem swemu krajowi w chwili gdy opuścili ogniska domowe, za kraj ten oddali życie. Naprzód Francja — to znaczy duma, że się jest Francuzem; to znaczy wola oddania tego kraju tym, co po nas przyjdą, conajmniej tak pięknego i tak wielkiego, jakiśmy otrzymali; to postanowienie bronienia go, jak będzie napadnięty; to znaczy przyjęcie na siebie w czasie pokoju obowiązków, jakie nakłada..."

PRAWDA!

„Życie na polu bitwy przesiąknięte jest przerażającą prawdą. Ludzie zjawiają się tam, takimi jacy są — tchórzami czy odważnymi, złymi lub dobrymi, tak, jak na sądzie ostatecznym. Jest dziś rzeczą ważną widzieć rzeczy takiemi, jakiemi są rzeczywiście. Podczas wojny odrzucano precz wszelkie kłamstwo...

Są tacy, coby chcieli podjąć próbę rozbrojenia Francji, by się przekonać, czy taka ofiara zaspokoiłaby bogów wojny, którzy jej zagrażają. Gdy chodzi o przyszłość kraju, podobne igraszki umysłowe mogą kosztować zbyt wiele. Trzeba w dalszym ciągu opierać bezpieczeństwo kraju na jego własnej sile, i to dopóty, dopóki nie będzie lepszej gwarancji".

ODWAGA!

„Posiadali ją ci, co polegli...

Nie wystarcza znać prawdę, trzeba mieć odwagę jej bronić. Trzeba odrzucić filozofję lenistwa, wskazującą najmniejszy wysiłek. Często się słyszy takie zdanie: „Kryzys jest światowy i tylko lekarstwa światowe mogą go usunąć. Piękna to okazja do bezczynności w oczekiwaniu owego powszechnego lekarstwa, ktorego nie będzie... Równie dobrze w polityce, jak na polu bitwy, tchórzostwo nie prowadzi do zwycięstwa!"

WYRZECZENIE SIĘ!

„Wszyscy ci, co polegli, pogodzili się z tem, że byli tylko cząstką, nieskończenie małą, całości broniącej kraju falangi.

Dziś, zarówno w sprawach materjalnych, jak duchowych, regułą gry jest: naprzód ja. Bywa nawet gorzej: nic, tylko ja. W różnych zespołach każdy chce być przywódcą ze szkodą dla całości"..

DYSCYPLINA!

„Oto wielkie słowo, które trzeba rzucić w twarz skrajnemu i rozkładowemu indywidualizmowi, który znamionuje nasze czasy. W powszechnym zamęcie rozumów, będącym następstwem ostatnich zaburzeń, Francja pozostanie sobą tylko wówczas, jeśli znów się podda pewnej dyscyplinie. Młode pokolenia powinny dokonać tej ewolucji, od nich bowiem zależą losy naszego kraju"...

Urywamy cytaty. Nie mogą one oddać piękności oryginału. Przytoczyliśmy je jedynie dlatego, by zachęcić do czytania książki gen. Weyganda. Nie może nas nie interesować, jakie wskazania daje swemu społeczeństwu człowiek, w którego ręku spoczywa dziś kierownictwo armją francuską: tą armją, która dała tak znakomite dowody swej wartości w latach 1914 — 1918. Ten żołnierz francuski jest powściągliwy w słowach, lecz łatwo myśl jego zrozumieć, łatwo się domyśleć, co sądzi o polityce zewnętrznej Francji, gdy się jego zalecenia porówna z tem, co się robi.

A wreszcie trzeba powiedzieć, że sądy gen. Weyganda mają znaczenie powszechne, dotyczą innych krajów równie dobrze jak i Francji.

Kto weźmie do ręki małą książeczkę gen. Weyganda, ten nie zadowoli się jednorazowem jej przeczytaniem, lecz będzie rozmyślał w skupieniu nad poszczególnemi jej rozdziałami. Poważne stanowisko wobec spraw życia, wielkie doświadczenie, zdobyte w ogniu walk wojny ostatniej, kultura ducha, zdobyta pracą szeregu pokoleń, mądrość i spokój — oto co bije ze stronic tej niewielkiej, a pełnej treści książki.

STANISŁAW KOZICKI

O PLEBISCYCIE NA WARMJI

CHOĆ plebiscyt na Warmji, na Mazurach i w Malborskiem był w dziejach Polski wydarzeniem wagi doprawdy niezwykłej — nie było dotychczas w polskiej publicystyce i literaturze politycznej lub pamiętnikarskiej ani jednej nieco większej publikacji, z którejby się Polak mógł o przebiegu tego wydarzenia szczegółowo poinformować. Kto nie chciał się ograniczyć do czerpania informacyj ze źródeł wyłącznie niemieckich, takich jak np. *„Geschichte der Abstimmung in Ostpreussen"* Maxa Worgitzkiego (Lipsk, 1921, str. 159, — z dołączonemi wspomnieniami Komisarza Rzeszy do spraw plebiscytu, barona von Gayla) i kto nie miał dostępu do polskich archiwów urzędowych, ten zdany był, gdy chciał sobie pogląd o przebiegu plebiscytu wyrobić, wyłącznie tylko na ustne informacje, które zdołał uzyskać od osób, należących do ludności plebiscytowego obszaru, lub będących byłymi uczestnikami akcji plebiscytowej, — albo też na rozproszone po prasie codziennej i perjodycznej artykuły, zwykle trudne do odnalezienia, a nieraz również oparte na materjale informacyjnym, nie pochodzącym z pierwszej ręki, a więc niezupełnie pewnym.

To też ukazanie się przed kilku tygodniami broszury p. Anny Łubieńskiej p. t. „Moje wspomnienia z plebiscytu na Warmji"[1]) stanowi ważne zdarzenie publicystyczne, broszura ta bowiem przynosi pierwszy, wyczerpujący i dający w sprawę plebiscytu wyraźny wgląd — opis jednego z działów sprawy plebiscytowej. Daje przytem opis żywy, gorący i z serdecznem przejęciem pisany, — opis tak przejmujący i w odsłanianiu smutnego przebiegu tragedji plebiscytowej tak bolesny, że niepodobna go czytać — bez ściskającego krtań żalem wzruszenia. Autor niniejszych słów, choć z przyczyn od siebie niezależnych w akcji plebiscytowej udziału brać nie mógł — związany jest z Warmją, Mazurami i Ziemią Malborską długiem pasmem, od szeregu lat się datujących, osobistych przeżyć i wspomnień, to też wspomnienia p. Łubieńskiej czytał ze wzru-

[1]) Anna Łubieńska: „Moje wspomnienia z plebiscytu na Warmji" z przedmową A. Górskiego, 1932, str. 78.

szeniem podwójnem, bo powiększonem przez osobiste uczucie przywiązania, które dla ziem tych żywi. Ale z pewnością i ten polski czytelnik, którego stopa nigdy brzegów Łyny i Pasarji nie dotknęła, nie zdoła się wzruszeniu temu oprzeć, — a przytem z kart wspomnień p. Łubieńskiej z pewnością wiele bardzo się nauczy. To też praca p. Łubieńskiej powinna się znaleść w każdej polskiej czytelni i w ręku każdego, interesującego się sprawami ojczystemi Polaka.

Broszura p. Łubieńskiej nie daje — rzecz prosta — obrazu całości sprawy plebiscytowej, ogranicza się tylko do terenu Warmji, pomijając zupełnie Mazury i ledwie dotykając ziemię Malborską. Treść jej obraca się głównie około akcji zakładania na Warmji polskich ochronek, co było oczywiście jednym tylko z fragmentów akcji organizacyjnej i uświadamiającej przed głosowaniem. Ale obraz stosunków na terenie plebiscytowym, warunków przeprowadzenia akcji przedplebiscytowej i samego głosowania oraz trudności w uzyskaniu pomocy z kraju jest tak wyrazisty, że doprawdy dla zrozumienia, czem był plebiscyt i w jakich okolicznościach się odbył, w zupełności wystarcza.

Przytoczymy tu dwie charakterystyczne cytaty z tych „Wspomnień“ (str. 75):

„Przyjeżdżamy do Gietrzwałdu. Przed lokalem wyborczym stoi gromada polskich gospodarzy. Spotkał ich straszny zawód: skoro przyszli spełnić swój obywatelski obowiązek, usłyszeli od urzędującej komisji, że nazwiska ich nie są wpisane na listę, a tem samem głosować nie mają prawa. Natomiast schodzą się licznie przyjezdni Niemcy, których nikt tu nie zna, ani pamięta i głosami swemi decydują o losach Warmji.

Przedstawiam gospodarzom amerykańskiego dziennikarza.

„Niech pan opisze w gazetach, jaka nam się stała krzywda — mówią zrozpaczeni. — Niech się cały świat dowie, w jakich warunkach odbył się na Warmji plebiscyt“.

Prowadzą nas przed polski dom ludowy. Tutaj zebrała się cała ludność Gietrzwałdu. Na domu ludowym powiewa, jedyna może dziś na Warmji, biało-czerwona chorągiew.

Bojówka niemiecka usiłuje godło nasze zniszczyć; lecz daremne są jej wysiłki. Wszyscy Polacy z Giertzwałdu stoją w zwartym szeregu, straż trzymając przed polskim sztandarem. Nie dane im było w głosowaniu wyrazić swą wierność Ojczyźnie, a więc w ten sposób jej hołd oddają“.

Mamy tu na gorąco pochwycony, żywy obrazek warunków, w jakich się plebiscyt odbywał. Autor niniejszych słów zna Gietrzwałd dobrze, — jest to miejscowość nawskroś polska. W miejscowości tej, nie będącej niczem więcej niż wsią i różniącej się od innych wsi tylko tem, że stanowi sławne miejsce odpustowe — istnieje od szeregu lat i potrafi się utrzymać polska księgarnia. Założona w Gietrzwałdzie, po wydaniu przez Prusy dnia 31 grudnia 1928 r. ustawy o szkolnictwie mniejszościowem, polska prywatna szkoła jest jedną z najlepiej prosperujących polskich szkół na Warmji i wogóle w Prusach Wschodnich. Doprawdy zbudować się można i umocnić się we własnym polskim patrjotyzmie, rozmawiając — dziś, w 12 lat po plebiscycie—z niejednym z pośród gietrzwałdzkich wieśniaków. A jednak, jak wiadomo, w plebiscycie w Gietrzwałdzie zwyciężyli Niemcy, — Gietrzwałd nie należy do tych najmocniejszych narodowo, czterech miejscowości na Warmji (na ogólną liczbę 301), które w plebiscycie opowiedziały się większością głosów za Polską.

Każdy, kto choć trochę zna stosunki w Prusach Wschodnich, wie, że o ile na Mazurach zwycięstwo plebiscytowe było rzeczą mało prawdopodobną z uwagi na słabe zarówno wówczas, jak i dziś jeszcze uświadomienie ludności mazurskiej (na Mazurach głosowało za Polską 5 wsi wobec zgórą tysiąca wsi głosujących za Niemcami) i tylko pewne poprawienie wyników było tam możliwe, — o tyle na Warmji, a zwłaszcza w Ziemi Malborskiej, gdzie w samym tylko powiecie sztumskim zwyciężyliśmy w 22 wsiach na ogółem 124, mogli byliśmy osiągnąć sukcesy bardzo poważne, które na późniejszych decyzjach co do losów terenu plebiscytowego mogły były w wybitny sposób zaważyć. Wiemy dobrze, że na klęskę plebiscytową wpłynęło, prócz złej konjunktury, spowodowanej inwazją bolszewicką w Polsce—bezgraniczne poprostu niedołęstwo w polskiej akcji plebiscytowej, która opierała się na wysiłkach garstki ofiarnych ludzi, lecz pozbawiona była nawet drobnej części tych środków agitacyjnych, organizacyjnych, finansowych i t. d., któremi akcja tego znaczenia dysponować była powinna.

Jak widzieliśmy, polscy mieszkańcy w Gietrzwałdzie w głosowaniu nie brali udziału, czego przyczyną było nadużycie wyborcze, polegające na pozbawianiu ich głosu. Czy mamy za to winić Niemców? Doprawdy, przedewszystkiem powinniśmy szukać winy w nas samych. Niema wyborów, w którychby kajaś ze stron walczących nie miała tendencyj do popełniania nadużyć. To nie dość nadużycia piętnować i *ex post* nad niemi biadać,—trzeba się również zdobyć na wysiłek przeszkodzenia im w porę, co w warunkach głosowania, przeprowadzanego przez bądź co bądź neutralną komisję, nie było przecież od „a“ do „z“ niemożliwe. Tylko, że myśmy wówczas nie byli w nastroju do myślenia o takich błahostkach, jak plebiscyt wschodniopruski. Mieliśmy wówczas pilniejsze sprawy na oku: maszerowaliśmy na Kijów i budowaliśmy niepodległą Ukrainę, na to, by mieć komu podarować inny szmat odwiecznie polskiej ziemi: Płoskirów i Kamieniec Podolski! Wobec tak ważnych zajęć — gdzież tu myśleć o dopilnowaniu prawidłowości sporządzania list wyborczych w jakimś tam Gietrzwałdzie?

A teraz druga cytata (str. 57):

„Idę do Belwederu. Przyjmuje mnie adjutant, major D. Przyjmuje mnie bardzo uprzejmie. Mówi, że Warmji wprawdzie nie zna, ale przypuszcza, że na Warmji, to podobnie, jak na Śląsku. A na Śląsku sprawa przedstawia się tak, że ludność tamtejsza wcale nie chce do Polski należeć. (Adjutant daje mi na to dowody). A jeżeli ludność nie chce do nas należeć, to poco ją do tego przymuszać?“

Pozostawmy na razie na boku osoby, które sobie adjutantów dobierają. Zwróćmy uwagę jedynie na pana majora D. Kto wie, może pan ten, który ignorantem był być może, frymarczącym ziemią polską był z pewnością, jest dziś jenerałem, dyplomatą, dygnitarzem wielkiej polityki państwowej? Opinja polska ma prawo żądać zapoznania jej z nazwiskiem tego człowieka. Zwracamy się w imieniu opinji narodowej do p. Anny Łubieńskiej, by złożywszy już tak duże dowody gorącego patrjotyzmu i bezsprzecznej odwagi w czasie plebiscytu — nie zawahała się raz jeszcze okazać się odważną, a zarazem spełnić narodowy obowiązek — i podała nazwisko do publicznej wiadomości.

Nie mnóżmy cytat. Każdy, kto weźmie do ręki „Wspomnienia“ p. Łubieńskiej, — przeczyta je, nawet będąc zupełnie ze sprawą plebiscytu wschodniopruskiego nie obznajomionym, jednym tchem i z gorącym rumieńcem wstydu, oburzenia i żalu.

WIEL.

Z LITERATURY REGJONALNEJ ŚLĄSKA

WSPÓŁCZESNA twórczość literacka, a nawet naukowa na Śląsku wyrosła z regjonalizmu jako „twórczej pracy lokalnej dla dobra całości",[1]) regjonalizmu najszlachetniejszego, pragnącego „kształcić szersze ambicje twórcze, nie zabijając odpowiedzialności za całość". Wymowną ilustracją tak pojętego regjonalizmu są powieści Morcinka, prace naukowe Muzeum Śląskiego, Śl. Tow. Przyj. Nauk w „Rocznikach" i innych odrębnie wydanych pracach, działalność „Zarania Śląskiego" — dziś Polsce dobrze już znane. W tym rozmachu twórczym, jaki od pięciu lat obserwujemy na Śląsku, tkwi zarówno chęć dorównania innym dzielnicom Polski, tkwi pragnienie szerzenia „prawdy o Śląsku",[2]) tkwi usprawiedliwiona chęć zwrócenia uwagi Polski całej na tę najmniej znaną jej dzielnicę.

Jest jeszcze drugi rodzaj twórczości na Śląsku, nie obliczony na oddziaływanie zewnętrzne, a pragnący oddziaływać bezpośrednio na duszę ludu śląskiego, tkwiącego w nieustannej, niebezpiecznej pracy podziemnej, pragnący odwrócić jego uwagę od wytworów materjalnych do produkcji duchowej. Powstała więc literatura regjonalna, którą współczesna krytyka zgodnie ignoruje — jako literaturę ludową. A szkoda! Zdrowa to strawa duchowa, pachnie świeżością ziemi, nie wysila się na łamańce psychologiczne lub wątpliwej wartości oryginalność — ma świadomość misji, którą pojmuje poważnie, bardzo poważnie. Tendencyjność powieści ludowej, jej skromność i prostota, niewymyślność — są widocznie przyczyną, że szerszy ogół inteligencji na nią nie zwraca uwagi. Tymczasem lud, dla którego powieści te są przedewszystkiem pisane, chłonie je całą duszą, odnajduje siebie w nich, znajduje pociechę i zrozumienie.

Literatura ta, obok swych celów dydaktycznych i pedagogicznych, posiada jeszcze inne znaczenie, znaczenie ciaśniejszego regjonalizmu. Odnajdujemy w niej barwne opisy regjonu, poznajemy język i duszę ludu, jego pragnienia i dążenia, smutki i radości. Tematy powieści ludowych są odrębne na Śląsku cieszyńskim, krainie górskiej i raczej rolniczej, inne na Górnym Śląsku i w Zagłębiu, gdzie ośrodkiem zainteresowań jest życie górników i kopalń, niedawne krwawe powstania, wspólne zaś obu dawniejsze antagonizmy narodowe: polsko-czeskie i polsko-niemieckie. Dziwne jednak, że współczesna twórczość literacka śląska nie zajęła się jednym, bardzo aktualnym tematem: obecnem wzajemnem współżyciem ludności rozmaitych narodowości na Śląsku, irredentą niemiecką, intrygami granicznemi. Tematy te nadają się jednakże nietyle dla twórczości ludowej — ile dla wytrawnego już pisarza, dobrze obeznanego z całym splotem zawiłych zagadnień narodowościowych i politycznych, skomplikowanych kwestyj, powstałych przez podział Śląska i Konwencję Genewską. A zaznaczają się one coraz silniej w życiu codziennem.

Na czoło śląskiej twórczości literackiej typowo ludowej, regjonalnej w ciaśniejszem słowa znaczeniu, wybijają się Ludwik Łakomy (G. Śląsk — Zagłębie) i Walenty Krząszcz (Śląsk Ciesz.) Ludwik Łakomy, inżynier górniczy, dobrze obeznany z tamtejszem życiem i zwyczajami, rozpoczął działalność literacką od wierszy, ogłaszanych tu i tam, później zaczął wygłaszać opowieści górnicze przed mikrofonem Radja Katowickiego, czem sobie zdobył w krótkim czasie dużą popularność. Zetknąwszy się w roku 1924 z ś. p. Stefanem Żeromskim, który się, jak wiadomo, Śląskiem intensywnie interesował — którego twórczość silnie zaważyła na twórczości Morcinka i Łakomego, zaczął spisywać te opowieści górnicze, przeważnie oparte na opowiadaniach autentycznych — górników, na legendach, które skrzętnie zbierał. Pierwsza praca, którą Łakomy opublikował z zakresu regjonalizmu — to cudna legenda o Skarbniku — Zabrzeskim, jego synu i córce — Św. Barbarze trzy legendy, żyjące odrębnie w ludzie, złączone w jedną harmonijną całość. Legenda, jak ją opublikował Łakomy,[3]) dotąd nigdzie w tak pełnej osnowie nie była znana i była do pewnego stopnia rewelacją zarówno dla ludu śląskiego jak i badaczy regjonalnych Śląska, którzy tylko znali strzępki tej legendy.

Św. Barbara była córką „srogiego grafa" Zabrzeskiego, z przydomkiem Skarbnika, dla niezmierzonych swych skarbów. Okrucieństwo Zabrzeskiego w stosunku do ludu stało się tak straszne, że lud zwrócił się do Barbary o pomoc. Barbarka, której świętobliwe życie powszechnie było znane, i o której lud mówił, „że naprachtykowała", postanowiła „zaprowadzić lud" pod kaplicę św. Doroty. Pogoń Zabrzeskiego dosięga ich jednak i rozwścieczony Zabrzeski zabija własną córkę. Za karę skazuje go „Ponbóczek" na wieczną tułaczkę w podziemiach kopalń i zmusza go do ostrzegania górników przed grożącemi im niebezpieczeństwami. Skarbnik miał także syna, zacnego młodzieńca, którym się opiekował stary sługa. Nie długo przeżył ojca i siostrę — a umierając oddał swe skarby i swą dziedzinę całą ludowi. Krótkotrwałe jednak było szczęście ludu. „Wielki Fryc doł dziedzina Zabrzeskich jakiemuś srogiemu Migurcowi" — rozpoczął się ucisk stokroć gorszy, niż za czasów Zabrzeskiego, lud ginął tysiącami, wymordowany okropnemi wymaganiami dręczyciela. Stary sługa — który pochował młodego panicza, chodził żalić się na jego grób — aż pewnego razu panicz się przebudził — i usłyszawszy, co się dzieje, radził słudze odszukać Skarbnika w kopalni. Czyni to i znajduje zadumanego Skarbnika, pogrążonego w rozmyślaniach nad niedolą swego ludu, tak, że zapomina o swych obowiązkach. Dochodzi do strasznej katastrofy i za karę zamyka go Pan Bóg w węglu — synowi zaś powierza straż nad górnikami i kopalniami do czasu, kiedy ojciec winy swe odpokutuje.

Ta część legendy zawiera zupełnie przejrzyste aluzje polityczne. Zabrzeski — to Polska, która zaniedbała Śląska, rządy Niemca — to ucisk germanizacyjny za Fryderyka Wielkiego (rozbiór pierwszy), lud (sługa) wzywa pomocy Polski (Skarbnika), Polska dopuszcza do katastrofy (ostatniego rozbioru) i zostaje wymazana z karty Europy (katastrofa) — straż nad Śląskiem pełni teraz Polska młoda (syn Skarbnika). Zrozumiałe jest, jak ogromne znacze-

[1]) Z. Wasilewski: Regjonalizm a całość. („Kurjer Pozn.")
[2]) „Roczniki" Tow. Przyj. Nauk na Śląsku. Tom III. 1931.

[3]) L. Łakomy: „Skarbnik Zabrzeski i Święta Barbara". Odbitka z „Technika". Katowice. 1931, str. 18.

nie dla ludu posiadać musiały tego rodzaju legendy. Pozostanie to niezapomnianą zasługą inż. Łakomego, że wydobył legendy te z zapomnienia, połączył je logicznie ze sobą, przedstawił je w barwnej gwarze środkowo-górnośląskiej, tak niezmiernie charakterystycznej dla poznania duszy ludu, w której się kryją nieprzebrane skarby patrjotyzmu, bogobojności, szczerego humoru, wytrwałości i tężyzny moralnej.

Twórczość oryginalną rozpoczął Łakomy opowieścią z życia górników Zagłębia Dąbrowskiego.[4]) Jak wszystkie powieści ludowe śląskie i ta jest krótka. Ma to swoje psychologiczne uzasadnienie. (Lektura nie trwa długo). Opowiadanie to odznacza się silnem napięciem dramatycznem, oryginalne w swoim rodzaju, nie jest naśladownictwem podobnych epizodów z powieści Morcinka. Nosi jaskrawe piętno stylu Żeromskiego, posuwa się w opisie aż do naturalizmu Zoli:

„Opodal pod ścianą leżał skulony trup. Twarz miał spazmatycznie wykrzywioną, spróchniałe, żółte zęby wyszczerzone, w zaciśniętej dłoni tkwił kilof. Ze skroni płynęła jeszcze krew, jasną, wesołą czerwienią, krzepniejąc rubinowemi kroplami na lśniących łuskach węgla“ (str. 11). „Z otwartej rany brzucha wypełzły cuchnące, przysmażone trzewia. Tylko dolna połowa twarzy wyglądała, jakby się śmiała zjadliwie“ (str. 12). „Psia treść... wytrzyma... może wytrzyma! — Św. Barbaro dopomóż! Ubywa drogi krzyżowej, ubywa. Skowyczy strop głucho, lecą garście kamyków. — A Piechaczek napina mięśnie rąk, nóg, grzbietu, pełza upornie dalej, dalej, cal za calem, cal za calem. — Bezwolnie popuszcza kał, bezwolnie oddaje mocz. — Nic to! Byle do „Jana“. Raz po raz bluzga z ust śmierdząca, zapieniona ciecz. Ostatek iskier życia tli się jeszcze w dozorcy. Odpędza myśl, że kres nadchodzi... Pełza... pełza...“ (str. 36).

Autor umie wydobyć wszelkie odcienie ludzkiej męki, strasznego konania. Ma duże wyczucie dramatyczności, umie być zwięzłym, odczuwa doskonale prostą duszę ludu, jego skromne pragnienia, jego naiwne marzenia. Treść opowiadania jest jaknajprostsza możliwie: Dozorca Piechaczek schodzi z drużyną ratowniczą do kopalni, w której wybuchły gazy, bo zagrożonym towarzyszom nieść pomoc. Przy akcji ratowniczej zostaje sam odcięty, błąka się w śmiertelnym strachu po pochylniach, szybach i, bliski ocalenia, zostaje zasypany walącemi się filarami i kamieniami. Myśli tylko o swoim synu w szkole sztygarskiej. Raduje się jeszcze w obliczu śmierci, że syn będzie panem — i córka pańska jego będzie żoną. — Żadnych komplikacyj psychicznych, śmierć prosta, szara i straszna jak życie górnika.

Autor pokazał nam nowy fragment życia podziemnego, uczy czci dla tych, którzy w nieustannem niebezpieczeństwie podtrzymują życie, żywią nasze maszyny. Pisze prosto, niewymyślnie i trafia bezpośrednio do serca, wywołuje uczucia zgrozy i litości. Wszystko to wierna obserwacja życia, którego codziennym jest świadkiem. Nic dziwnego, że literat, który na tydzień, dwa wchodzi do kopalni, by opisać później to życie — nie umie oddać prawdopodobnie życia podziemnego (Kaden - Bandrowski w „Czarnych Skrzydłach“). „Trzeba“ — jak mówi Żeromski —„wchłonąć w siebie życie tych, których się opisuje, dla których się pisze“.

Nie jedyna to jednak sfera zainteresowań Łakomego, nie zawsze tylko światła ponure. Autor umie również pokazać „Słonko jasne“ [5]): „głos ziemi, która kocha i błogosławi bohaterów, nienawidzi i przeklina zdrajców, miłośnie się lituje nad tymi, których serce już krzyczy „ojczyzna“, a gardło ściska rozpaczna złuda samoobłąkania urojoną potęgą wroga“. — Fragment odrodzenia narodowego Śląska przez krwawe powstania przeciw przewadze ciemiężyciela. Dramat ten powstał pod bezpośrednim wpływem Żeromskiego. Ale widać, że forma dramatyczna nie odpowiada Łakomemu, że intencja lepsza od wykonania. Autor sam, gorący i szczery patrjota, zasuggerował się wzniosłością idei walk powstańczych, i zamiast nastroić ton na nutę prostą i szczerą, wpadł w patos, który miejscami wręcz razi. Przeładował dramat szczególikami, na czem traci zwartość akcji, wpada zbyt często w ton historycznego opisu ze szkodą dla żywości djalogu, przeładował dramat dokumentami, wskutek czego akcja się wlecze. Postacie są prawdopodobne, ale zbyt mało psychologicznie uzasadnione. Skutkiem tego dramat przestaje być prawdziwym dramatem — a staje się — ciekawym, to prawda, dokumentem historycznym dla dziejów powstań Śląska. Odsłania typowy na G. Śl. konflikt duszy polskiej z naleciałościami niemieckiemi, przedstawia w jaskrawem świetle nienawiść polsko-niemiecką, daje znakomitą charakterystykę barbarzyństwa niemieckiego — ale nie wnosi nic oryginalnego. Te same kwestje potraktowali o wiele ciekawiej Morcinek, a nawet Wierzbiński...

Dotychczasowa działalność regjonalno-literacka Łakomego dowodzi, że siła autora leży w opowiadaniu, gdyż posiada duży dar obserwacyjny, zna doskonale środowisko i psychikę ludu, o którym i dla którego pisze. Łatwość pisania, sumienność w dokumentacji, niewątpliwy talent powieściopisarski — stawiają Łakomego w rzędzie pożytecznych i ciekawych pisarzy regjonalnych Śląska.

ALFRED JESIONOWSKI

[4]) L. Łakomy: „Na dziewiątej pochylni — opowieść z podziemi“. Dąbrowa-Górnicza. 1932, str. 45.

[5]) L. Łakomy: „Słonko jasne... Rapsod powstańczy“. Będzin. 1932, str. 88.

ZJAWY SZTUKI

TOCZY SIĘ spór naukowy o charakter zjaw fantastycznych, które w roli osób dramatu wprowadził do „Wesela“ Wyspiański. Jedni utrzymują, że to są wysłańcy sił nadprzyrodzonych — niebios, czy piekieł, inni, że to są majaki senne osób, działających na scenie, upostaciowane przez autora, jeszcze inni upatrują ich źródło w wierzeniach ludu, które w ich podstawie religijnej podzielał Wyspiański. Każdy z tych poglądów zbroi się w uzasadnioną krytykę względem swoich współzawodników. Podług mnie — żaden nie ma słuszności.

Pomimo, że o temat tego sporu tylko przygodnie i zwięźle potrącił p. Adam Grzymała-Siedlecki, on jeden sądzę, wyraził na sprawę pogląd trafny. Mianowicie w rozprawce p. t. „Kościuszko i Wernyhora u Wyspiańskiego“, zamieszczonej w nr. 52 „Myśli Narodowej“ p. Siedlecki mimochodem mówi:

„Wernyhora, jak wszystkie inne zjawy z aktu drugiego „Wesela“, ma nam uplastyczniać charakterystykę osoby, przed którą staje. Wszakże już Chochoł zapowiada, że po nim przyjdzie tu wiele niesamowitych gości, którzy wyjawią, „co się w du-

szy komu gra". Wernyhora jest tem, co się gra w duszy Gospodarza".

W przeciwieństwie do uczestników sporu — uczonych, p. A. G. Siedlecki jest artystą-poetą, i właśnie dlatego rozwiązał zagadnienie trafnie, należy ono bowiem do dziedziny psychologji artyzmu w jego rodowodzie twórczym. Autor nie rozwijał swojego poglądu, ponieważ innym w rozprawie zajęty był tematem. Sądzę jednak, że powołanie się jego na słowa Chochoła stanowi dowód wystarczający na to, że Wyspiański traktował te zjawy, jako twory wyobraźni artystycznej, przy których pomocy wypowiadał to, co chciał wypowiedzieć. Przyczem jest rzeczą obojętną, że jedne zjawy dają charakterystykę tych lub tamtych osób rzeczywistych dramatu, a znów inne symbolizują pogląd lub uczucie samego poety, albo są upostaciowaniem jakichkolwiek sił przyrody lub duszy ludzkiej—osobistej, czy zbiorowej.

Jest rzeczą krytyki ustalenie realnego znaczenia zjawy w każdym wypadku poszczególnym, ale nie widzę najmniejszego uzasadnienia ani potrzeby w przypisywaniu poecie wiary w rzeczywiste istnienie zjaw. Jako środki artystyczne, zjawy istnieją w sztuce od wieków i nie wystawiają twórców swoich na zbędne ze strony krytyk pytania i wątpliwości. Warto zatem rozszerzyć podstawę zagadnienia z jednego dramatu—„Wesela" na całą dramaturgję świata, a z dramaturgji — na sztukę wogóle, aby uzyskać naprzód zasadniczy punkt widzenia sprawy. Wystarczy na to niewielka ilość przykładów powszechnie znanych, które tu przytoczę.

Mefisto w „Fauście" jest postacią traktowaną całkiem realnie (wszyscy go widzą, rozmawiają z nim i tak dalej). Czy wynika stąd, że Goethe wierzył w istnienie Mefistofelesa? Czy „Noc Walpurgji" budzi w krytyce jakie wątpliwości o umyśle Goethego, mimo całego realizmu scen z czarownicami? Pamięci Szekspira również nie zamęczamy zapytaniami o jego stosunek do światów fantazji z powodu „Makbeta", „Burzy", „Hamleta", „Snu nocy letniej". Nawet przeciętny czytelnik i widz tych dramatów świadomie rozumie lub intuicją wyczuwa zasadę artystyczną i cel, według których powstają, realnie na scenę wprowadzone, duchy i zjawy fantastyczne. Ograniczając się, zresztą, w dramaturgji do samego Wyspiańskiego, zastanówmy się, dlaczego uczeni nasi martwią się o postacie z „Wesela", a zostawiają w spokoju Pallas Atenę, Nikę, Korę, Hestję, Świstów, Poświstów itd. z innych dramatów Wyspiańskiego? Nikt nie podejrzewa poetę o wiarę w Olimp Grecki, nikt nie przypuszcza, że to są majaki senne. Również w końcowej scenie „Bolesława Śmiałego" każdy rozumie artystyczny pomysł wkroczenia trumny, niby istoty ożywionej.

Dramaty muzyczne Ryszarda Wagnera nie wywołują rozpraw na temat, czy autor wierzył w bóstwa mitologji skandynawskiej. Fantastyczne opowieści Edgara Poe, Andersena, Kiplinga, pomimo swoich form realistycznych, rozumiane są doskonale tak co do swoich wykładni życiowych, jak i założeń artystycznych. Zwierzęta, naprzykład, w „Księgach puszczy" Kiplinga rozmawiają ze sobą abstrakcyjną mową ludzką i wiedzą więcej, niż to możliwe. Każdy czytelnik bez naukowych analiz odkrywa tu zawiły przebieg linji granicznej, która dzieli istotny stan rzeczy od wymysłu autora i każdy rozumie, że wymysł potrzebny jest dla skrótu i plastyki opowieści, dla jej wartości artystycznej. Realizm szczegółów i przedmiotów rekwizytorskich we wszystkich przytoczonych tu przykładach w niczem nie ustępuje owym złotym podkowom i kaduceusom „Wesela". To są rzeczy dla suggestji oraz dla wykończenia artystycznego konieczne i same nasuwają się pod rękę twórcy, a to w sposób równie naturalny w poezji i dramaturgji, jak w malarstwie i rzeźbiarstwie.

Sztuki plastyczne stawiają całą sprawę jeszcze dobitniej na pomoście założeń czysto artystycznych. Oto, naprzykład, rzeźba „Marsyljanka" Rude'a, oto „Chimery" Jacka Malczewskiego,, albo jego „Melancholja", albo „Błędne koło". Oto dalej wodniki, centaury, syreny, trytony w licznych obrazach Arnolda Böcklina. A oto znów Wyspiański sam w swojem malarstwie—jego cienie Hadesu, bogowie greccy, postacie „Fontanny" i t. p. Gdybyśmy w tych i tym podobnych przykładach pytania co do pomysłów i postaci fantastycznych w sztuce stawiali na sposób naszych uczonych historyków literatury, za każdym razem brnęlibyśmy w ciemności. Prosty zmysł artystyczny daleko lepszym jest tu przewodnikiem. Na widok „Wyspy umarłych" Böcklina nie zamierzamy pytać, czy artysta wierzył w istnienie Charona i jego łodzi, ale z całą radością poddajemy się nastrojowi, który z obrazu tego do duszy widza spływa. Bezmiar spokoju, cisza wyspy skalistej, tajemnica jej oddrzwi w skale wykutych, powaga i smutek cyprysów, pustynia morza dookoła, przewoźnik, łódź i ta postać dostojna w ostatniej podróży — wszystko to razem stwarza akord wrażeń i wzruszeń, o których wywołanie artyście chodziło.

Jak Böcklin w „Wyspie umarłych", jak Malczewski w „Melancholji", tak samo Wyspiański w „Weselu" zapragnął wypowiedzieć swój bardzo zwikłany splot uczuć i myśli, zbudzonych weselem bronowickiem. Wiadomo, że splot ten sięgał daleko w historję Polski, ogarniał wszerz mnóstwo spraw w przekrojach i zespoleniach społecznych, a wreszcie dobywał na jaw wiele głębokich zjawisk duchowych — marzeń, pragnień, tęsknot, smutków, rozpaczy, zniechęceń, wyrzutów sumienia, potępień, uroszczeń i tak dalej. Wyrażenie tego splotu i skupienie w trzech aktach dramatu, w miejscu ograniczonem do izby chłopskiej w czasie szumnego weseliska, wyrażenie tego splotu nie mogło obyć się bez użycia gwałtownych skrótów artystycznych, bez scen i postaci symbolicznych i fantastycznych. Próba oparcia całości na realizmie życia musiałaby się skończyć rozwlekłą dydaktyką i retoryką.

Zdaje się, że tu natrafiamy na przyczynę błędnych wykładni fantastycznego świata „Wesela". Badacze i wykładowcy wychodzą z milczącego założenia, że Wyspiański jako artysta był do głębi duszy realistą i nie mógłby odważyć się na wprowadzenie do dramatu postaci symbolicznych wyłącznie na mocy swobodnej wyobraźni i logiki czysto artystycznej. Skoro zaś takie postacie w „Weselu" się znajdują, to musiały one mieć jakieś odpowiedniki w świecie zewnętrznym — bodaj w kształcie majaków sennych, które mogły plątać się przed oczami podchmielonych weselników. Według badaczów Wyspiański mógł tylko fotografować to, co istotnie działo się, lub co wydawało się innym, a sam nie śmiałby niczego wymyślić i dodać. A jeżeli sam dodał, to, widocznie, na własne oczy widział w Bronowicach duchy przeróżne, bo inaczej nie mógłby ich na scenę wprowadzić. A już co-

najmniej musiał poeta wierzyć w rzeczywiste istnienie ducha Wernyhory w Lutach i delji, w ducha Braneckiego — w mundurze, w ducha Stańczyka— z kaduceusem, w ducha Chochoła w wiechciu słomy...

Wobec tego nic nie stoi na przeszkodzie do rozszerzenia wiary Wyspiańskiego na bogów greckich i bożków słowiańskich, bo czemże od „Wesela“ gorszą jest „Noc listopadowa“ albo „Legenda“? Takie stanowisko badaczów względem zjaw „Wesela“ nie da się utrzymać, ale jest szlachetne i wzruszające, bo z jednej strony świadczy o sugestyjnej sile sztuki Wyspiańskiego, a z drugiej — ukazuje świeżość dusz tych badaczów, którzy ani na chwilę nie mogą się otrząsnąć z wiary w rzeczywistość postaci, widzianych na scenie, niby owa gromada wiejska, co zamówiła u księdza mszę za duszę ś. p. Podbipięty. Uważałbym sobie za grzech odbieranie gromadzie wiary w rzeczywiste istnienie Longinusa, ale że sam tej wiary podzielać nie mogę, więc pragnę tylko zaznaczyć, że i bez niej można zachować całą siłę wzruszeń, jaką dane dzieło sztuki wywołać umie. Myślę nawet, że ta kategorja wzruszeń — czysto artystyczna łatwiej i pełniej od innych odczuwa prawdę, którą twórca w dziele sztuki przedstawił.

Nic nikomu nie przyjdzie z tego, że wierzy w taką lub inną rzeczywistość zjaw w dziele sztuki, o ile znaczenie, które im artysta nadał, nie przeniknie do duszy odbiorcy (widza i słuchacza), o ile nie wywoła w niej wzruszeń i skojarzeń, wstrząsów uczuciowych, moralnych i umysłowych, któremi zjawy owe naelektryzował twórca. Otóż sądzę, że wiara w rzeczywiste istnienie (jawne lub senne) zjaw sztuki, objektywizując je, wznosi tem samem przegrodę pomiędzy twórcą a odbiorcą dzieła sztuki, przegrodę, która wiele promieni duchowych, od artysty biegnących, pochłania i zatrzymuje, albo skrzywia i przebarwia. Natomiast poczucie zjaw, jako symbolów, stworzonych przez artystę, daje im bezpośredniość, pełnię i takie tętno krwi, taką temperaturę, jaka powstaniu ich towarzyszyła. Poprzez symbole przemawia swobodnie cała wyobraźnia artysty i ukazuje najdalsze perspektywy poza widomym kręgiem dzieła sztuki, gdy zaś przyjmiemy, że to są tylko zjawy rzeczywistości, krąg ich znaczenia zacieśnia się do osób działających w dramacie, a same zjawy często nie dadzą się niczem usprawiedliwić, co wykładowców realistycznych zmusza do karkołomnych sztuk w objaśnianiu dramatu.

Swoboda, z jaką Wyspianski obdarza w „Weselu“ postacie fantastyczne szczegółami z zakresu przedmiotów rzeczywistych — złotemi rogami, sznurami, złotemi podkowami i t. d., — sama dowodnie świadczy, że autor traktował je jako symbole artystyczne. W taki sam sposób wyposaża Atenę, lub Nikę w zbroje pozłociste. Zupełnie tak samo postępuje Göthe i Wagner, Böcklin i Malczewski, Szekspir i Poe. Postać symboliczna w dziele sztuki, a więc w dziedzinie zmysłów, nie może być z dymu uwita. Realizm przedmiotów i szczegółów, otaczających owe zjawy, jest dalszym ciągiem zasadniczego realizmu w ogólnem co do formy traktowaniu symbolów: jeżeli zjawa mówi językiem ludzkim i stylem autora, jeżeli jest ubrana, jeżeli chodzi po scenie, to dlaczegóż nie mogłaby zgubić złotej podkowy, zostawić kaduceusa w rękach swojego rozmówcy, rzępolić melodji na prawdziwych patykach? Gdyby autor traktował te postacie, jako duchy lub majaki senne, to z pewnością nie ośmieszałby samego siebie tym tłumem rekwizytów. Pozostawmy artystom przynajmniej tyle przytomności umysłu i poczucia rzeczywistości, że znają granicę między tworami własnej wyobraźni twórczej a światem zmysłowym. Pozostawmy im również swobodę tworzenia symbolów i nie czatujmy na nie z łokciem sztuki naturalistycznej.

Świadomość widza i słuchacza, lub czytelnika, że symbol jest symbolem, w niczem nie umniejsza siły suggestyjnej fantastycznych zjaw dzieła sztuki. O tem wiemy z doświadczenia. Siła suggestyjna zjaw sztuki nie wynika z naszej wiary w ich rzeczywistość, ale z ich zmysłowej treści, zapalającej naszą wyobraźnię. Wrażenie wichru i deszczu, szumiącego za sceną, nie słabsze jest od rzeczywistego wichru i deszczu, chociaż widownia wie, że to tylko umiejętne szorowanie papierem po ścianie za kulisami. Wrażenia i treść uczuciowo-myślowa, które daje zjawa, należą do tego samego rzędu suggestyj artystycznych, co i złudzenia dźwiękowe, a różnią się tylko bogactwem i skalą duchową. Wobec tego nawet względy praktyczne nie upoważniają nikogo do przypisywania artystom zamysłów i pomysłów, których żywić nie mogli.

Myślę, że dopiero po ustaleniu zjaw sztuki, jako symbolów, otwierają się przed badaczami wolne i dalekie drogi różnych wykładni i objaśnień każdego w sztuce napotkanego zjawiska fantastycznego.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

DWIE MARYSIE

Stoi polska gęsiareczka pod brzozą,
patrzy jak taczkami tata nawóz wożą.
Nie miała chleba dosyć,
wstydziła się doma prosić,
głodną była, o zgrozo!

Nóżka lewa obwiązana szmatą,
bo nie kupił jej trzewiczków tato.
Buty, kożuch, różne statki
zabrali im za podatki
przez lato.

Przeszła lasek do granicznej kreski:
a tam siedzi gęsiareczka czeska.
Szlocha, płacze pod osiną,
spadła z bułki jej słonina,
zjadły ją pieski.

Sukieneczka na niej w kropeczki,
u fartuszka dwie falbaneczki,
trzewik czysty i porządny,
nowej książki grzbiet wygląda
z zielonej teczki.

Do Marysi czeskiej mówi polska Maryś:
„Nie becz, głupia, boś już jest za stara!
Zostawimy gęsi w stawku, u gajówki,
pójdziemy na rydze i borówki:
dwie nas będzie do pary...“

Na polanie leśnej na Śląsku
polska Maryś jak fryga pląsa,
a ta czeska Maryś niepocieszona
jasną główkę przechyliła na stronę
i jeszcze do tej pory się dąsa.

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA

NA WIDOWNI

Z powodu „Wesela“ w teatrze Narodowym. — Życie i sztuka.—Wyspiański jako uczeń szkoły psychologicznej. — Konflikt z romantyzmem czy przymierze? — Dwa wyloty metafizyczne.—Psychologja „Wesela“.

MIAŁEM zamiar poświęcić to dzisiejsze pisanie dramatowi życiowemu, którego drobne nazewnątrz przejawy na ulicach miast polskich i na uniwersytetach tak stronniczo są „wyjaśniane“ na łamach prasy sanacyjnej. Nastręcza się bowiem temat bardzo ciekawy, poza obrębem zagadnienia politycznego, mianowicie stan duszy tych ludzi, których poczucie polskości i dobra narodowego tak bardzo zawodzi, że złorzeczą swoim. I to właśnie w tym samym czasie, kiedy składają hołdy Wyspiańskiemu za genjalne uprzytomnienie Polakowi, co to za siła i chwała mieć poczucie polskie. Po namyśle jednak widzę, że dyskutowanie będzie straconym zachodem. Bo cóż odpowiem takiemu np. publicyście z „Kurjera Wileńskiego“, czegoby cenzura—mówiąc językiem Słowackiego — nie złapała, jak pioruna, gołą ręką? Przytoczę dosłownie stanowisko „sanacji“ w sprawie lwowskiej. Według „Kur. Wil.“ młodzież polska usiłuje:

„zrobić z ofiary burdy w podejrzanej dzielnicy męczennika. Oto olśniewająca karjera: zostać bohaterem narodowym, nim się wódka z preparowanych zwłok wykurzyła“... (nr. 276).

Ile tu humoru! Co tam Wyspiański! Teraz są czasy kabaretowe. Niema rzeczy tak tragicznej, którąby nie mogła być „przebojem“ w „Bandzie“.

Nierozplątany to węzeł: życie i sztuka. Daremnie kusił się o wyzwolenie tych światów Wyspiański; teraz łączy je Banda.

To też zawieszę tę dyskusję i z Bandy przeniosę się do teatru Narodowego, gdzie Wyspiański, co z korzyścią będzie dla czytelnika, bo musiałby poraz drugi spotkać się ze mną niżej w rubryce teatralnej.

— — — — — — — — — — — — —

Jeszcze nie zeszła z Warszawy błękitna mgła wspomnień o Wyspiańskim. Zatrzymał ją na dłużej teatr Narodowy, wystawiający „Wesele“. Wsłuchując się w to widowisko, przypomniałem sobie to, co niegdyś pisałem o naturze talentu Wyspiańskiego. O „Weselu“, zdaje się, nigdy nie miałem sposobności pisać. Kiedy tę sztukę grano u Pawlikowskiego we Lwowie, recenzentem teatralnym „Słowa Polskiego“ był J. Kisielewski. Ale na rok przed śmiercią Wyspiańskiego pisałem o jego „Bolesławie Śmiałym“ do książki pamiątkowej, wydanej w Warszawie ku czci Jana Gadomskiego. Wtedy także życie i wielka polska sztuka chodziły koło siebie, jak nieszczęścia, nie rozumiejąc się wzajemnie: duch polski osobno, czyny zaś bywały niepolskie.

W dn. 10 października 1906 r. autor „Larika“ Gadomski, redaktor „Gazety Polskiej“, zasłużony publicysta padł na progu swego mieszkania od kuli działacza socjalistycznego, przebranego za bandytę. Były to czasy, któremi bezustannie przechwalają się dotąd sternicy dzisiejszej „sanacji“, — sanowania Polski za pomocą bojówek rewolucyjnych. Naczele tajnego rządu rewolucji tej stali: Posner, Perl i kobieta Gołde. Wtedy jeszcze nazwisk nie zmieniano, bo i na co?—działano przecież konspiracyjnie. Teraz warto mieć nazwiska szlacheckie.

Otóż w owej księdze pamiątkowej w pracy swojej, zatytułowanej „Poczucie estetyczne żywej tradycji“, wyraziłem na wstępie taki pogląd:

„Podświadomy ruch duszy dla jednego niepostrzegalny, dla kogoś innego, kto ma czucie wewnętrzne wrażliwe i subtelne, staje się rzeczą równie realną, jak pejzaż, scena lub akt modela. „Nowa sztuka“ (Młodej Polski) tem nadewszystko różni się od starej (realistycznej), że uznała zjawiska świata wewnętrznego za równie realne, jak te, które nam nasuwa świat zewnętrzny, a może nawet za realniejsze od nich. Drobne to napozór rozszerzenie zakresu obserwacji dokonało w sztuce przewrotu, który dostatecznie usprawiedliwia roszczenia nowoczesnych artystów, aby ich sztukę nazywano „nową“. Istotnie rozpoczęliśmy nowy okres sztuki we wszystkich dziedzinach“...

Z okazji 25-rocznicy śmierci Wyspiańskiego napisano o nim bardzo wiele, ale zamało poświęcono mu uwagi psychologicznej jako artyście; zawiele jest mitologji w podziwianiu cudownego zjawiska tego talentu, zamało historji. A przecież było to dziecko swej epoki, wyrzucone na Parnas jakimś prądem. Zjawiskiem był, prawda, bardzo skomplikowanem, bo moment w świecie naszej sztuki, zwłaszcza poezji, bardzo był wyjątkowy, nie mniej trzeba jego postać w jakiś sposób skwalifikować historycznie.

Wyspiański zatarł swój kontur osobisty przez to, że nie występował jako liryk, lecz kłębił koło siebie w dziełach przedmiotowo wątki dramatu dziejowego; a że wśród tych wątków sporo miejsca udzielił Mickiewiczowi (i romantyzmowi wogóle), więc ludziom skojarzył się w oczach z romantykami, jako ich epigon. Już czas to rozplątać.

Na „Weselu“ widać najlepiej, czem był. Romantyzm trzeba od niego odepchnąć w głąb historyczną i przeciwstawić Wyspiańskiemu. Bo nie zapominajmy, że między romantyzmem a Wyspiańskim mieści się historycznie cały okres sztuki realistycznej i naturalistycznej i że Wyspiański jest tego okresu potomkiem. Pozycja tego poety była osobliwa tem, że Wyspiański metodę widzenia rzeczy wziął od swego rodzica: naturalizmu, kulturę zaś artystyczną zawdzięczał swym dziadom romantykom. Walczył z atawizmem śliczną ich bronią. Nie miałby potrzeby walczyć, gdyby nie to, że romantyzm, który już dawno skończył się w sztuce, przeżył ją w umysłowości społeczeństwa, jako metoda narodowego powszedniego myślenia. Z tym upiorem walczył.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Sprawa poezji polskiej XIX w. tem się skomplikowała, że łożysko jej rozdwoiło się na krajowe i emigracyjne. Poezja w kraju rozwijała się powoli, jako piosenka, ustępując miejsca coraz więcej powieści, a zawsze ulegając wpływom życia ograniczonego w bujności, podczas gdy emigracyjna stała się zjawiskiem niemal nadprzyrodzonem: spadała jak wodospad w przepaść, wzbijając pyły strojne tęczami. Była wynikiem nadzwyczajnego wzruszenia, a powtóre, abstrahowana od rzeczywistości krajowej — podległa niezwykle intensywnym wpływom kultury artystycznej zachodu. Literatura polska z przełomu stuleci znalazła się pod ciśnieniem obu tych prądów. Ale Wyspiański z urodzenia był pisarzem „krajowym“, to znaczy bynajmniej nie był obcy ewolucji, którą przeszła literatura w szkole naturalistycznej.

W twórczej duszy Wyspiańskiego zaszedł konflikt między dwoma systemami estetycznego dochodzenia prawdy. Romantyzm był prądem, płynącym z wysokiego podniecenia p o d m i o t o w o ś c i. Tam było J a poetyckie, wywyższone ponad

świat martwy, poczucie siły indywidualnej, zdolnej światy przetwarzać. Wiązało się to z wyobrażeniem pewnego czynu, tendencje były dążeniowe, prorocze, przyszłościowe. Tendencje te, gdy ziemi pod nogami nie stało, znalazły oparcie w religji, stały się mesjaniczne.

T. zw. modernizm krakowski Młodej Polski był dzieckiem epoki, która się wychowała na badaniu przedmiotowem przyrody i uległa całkowicie niemal duchowi przedmiotowości. Poeta przeobraził się w artystę obserwującego, czerpiącego natchnienie z doznań zmysłowych. Było to pokolenie nie tyle natchnień filozoficznych, ile psychologów. Otworzyło się przed niem nietylko życie przyrody zewnętrznej, lecz, co ważniejsza, przyrody psychofizycznej w człowieku,—życie podświadomości, nadające się do analizowania wewnętrznego. Poeta odwrócił się frontem od widzeń proroczych w kierunku wręcz przeciwnym: do badania swego wnętrza głębokiego, nieorganizowanego myślą, będącego życiem instynktów, drgnień podświadomych, a w gruncie rzeczy składem doznań osobistych i wpojonych przez otoczenie, nawet dziedziczonych. Są to wszystko rzeczy p r z e s z ł o ś c i. Co kto miał wewnątrz, to badał. Wyspiański miał w sobie specjalny skład rzeczy zapamiętanych w postaci tradycyj narodowych, które w nim grały podświadomie, jakby jego osobiste przeżycia i one go parły jako artystę, aby im dawał wyraz. Kasprowicz tego nie miał, ale miał tradycje ludowe i te wyrażał, Przybyszewski przy pomocy doktryn niemieckich dokopał się „prailów“, odkopał Androgynę, tak jak Kasprowicz za wyobraźnią religijną dotarł do Raju i dalej do metafizycznych rubieży.

Otóż tę rozbieżność epok trzeba jasno zrozumieć i w niej Wyspiańskiego ustawić. On był poetą tym nowoczesnym, dla którego nie Schelling czy Cieszkowski był filozofem, lecz taki typowy na jego epokę psycholog, jak Abramowski badający tajemnicę p a m i ę c i.

Słowacki też szukał wylotu metafizycznego w tem, co było Początkiem, ale wyprowadzał swoją Genezis z ducha, moderniści — prowadzili swoją genezis z materji, aby doszukać się ducha. I znaleźli.

Tamci odrywali się od ziemi, szukając lepszych światów, ci szukali związku z ziemią i w niej wyczuwali głosy metafizyczne. Dla romantyków miłość była czemś osobistem i dlatego twórczem; dla naturalistów — miłość osobista była pochodną miłości powszechnej, zanim stała się instynktem gatunku. Ale głównie to: u romantyków było rwanie się zdobywcze naprzód; tutaj pierwsze miejsce zajęła tęsknota do utraconych związków z całością i do prabytu.

Tych tęsknot odmianą w niezwykle oryginalnej postaci była dusza Wyspiańskiego. I na to w r. 1906 zwracałem uwagę. Dla niego prawdą artystyczną w przeszłości jest nie litera dokumentu zewnętrznego, lecz to, co przechowało się w duszy. Odnajduje historję, jako psycholog, przez badanie wnętrza swego i ludzi, a nawet mistycznie wyczarowuje te przeżycia z murów. To jest dla niego realne, bo któż zwalczy „powieść ludu nieuchwytną“? W tem znaczeniu Wyspiański jest realistą.

Moment Wyspiańskiego — to przełom między dwoma kierunkami sztuki, które dotarły do dwu biegunów nieskończoności. I to właśnie było wspólną własnością obu kierunków. Nowy kierunek sztuki nie odkryłby swego bieguna metafizycznego, gdyby nie był reakcją na metafizyczność romantyczną. Młodzi, wpatrzeni w przyrodę, widzieli w niej, jak w wodzie, odbicie ognistych szczytów poezji romantycznej, jeno odwrócone — i szli ku nim. To były dwa odwrotne kierunki sztuki na linji prostej. Po takich odkryciach biegunowych długi czas trzeba będzie oczekiwać na nowe, zanim sztuka polska stanie znowu w przeciągu, który się wytwarza, gdy oba wyloty w nieskończoność przebite.

— — — — — — — — — — — —

Ale wróćmy na „Wesele“. Przedstawienie nie zawiodło oczekiwań miłośników poezji i wielkiego teatru. Zadało kłam tym, którzy na przykładzie „Wesela“ pragnęliby dowieść, jak dalece życie duszy polskiej odbiegło naprzód od czasu Wyspiańskiego. W „Weselu“ są pierwiastki wieczyste; ono dzisiaj jest tak prawdziwe, że aż przygnębia; tak zwierciadło martwi człowieka niedorodnego.

Jak przy czytaniu widzi się poetę poza rządkami liter, tak tutaj nie odstępuje widza myśl, że gdzieś na tej scenie błąka się niewidzialny Wyspiański. Jakąż to on pozycję tam zajął obserwacyjną, że mu się wszystko tak widziało, że tak prześwietlił ludzi wskroś: każde serce otworzył i pokazał nam, co się tam odgrywa, jak na scenkach, gdy rozmarzeni zabawą i muzyką, do nieuchwytnego dla świadomości krańca struny nerwów naciągnęli. Grało w weselnikach życie podświadome; on jeden czuwał — wielki, przewrażliwy artysta — i wszystko widział. On jeden nie tańczył i nie pił, ale za to upił się poezją chaty rozśpiewanej, iż stała mu się wizją, wypromienioną metafizycznie. Ileż to wesel krakowskich i sztuk ludowych widzieliśmy, jeden Wyspiański potrafił nam pokazać ten kawałek życia od głębokiego wnętrza, jakby obraz realistyczny człowieka odwracał na wierzch podszewką podświadomości. Czemś w danej chwili są ci ludzie; wydaje im się, że to wszystko; ale tak nie jest: oni coś wloką za sobą w smudze zapamiętań i coś rzucają przed się w marzeniach, więcej: oni też fluidem tajemnych drgnień serca łączą się w jedno ciało gromadne. Czyni to z nich sztuka, której całą noc się oddają. Bo to jest już sztuka: sama gra towarzyska, posiłkowana czarem tańca i muzyki. Ale on był tu mistrzem, bo z tej duszy nawiedzonej sztuką, uczynił dla siebie instrument, na którym zagrał dramat.

„Wesele“ jest arcydziełem nowej metody artystycznej, która odcięła „Młodą Polskę“ w nowy okres historji sztuki. Psychologizm naturalistyczny taką postać przybrał w rękach wykształconego na romantyzmie Wyspiańskiego. Osobliwe to zjawisko sztuki mogło się pojawić tylko wtedy i tutaj: w punkcie zetknięcia się tradycyj romantycznej poezji z realizmem psychologicznym końca XIX w.; w Krakowie, gdzie polska myśl historyczna i polityczna poufaliła się na codzień z życiem; i właśnie w Bronowicach, gdzie z psychiką ludu zmieszała się w muzyce i tańcu dusza przedstawicieli inteligencji (Gospodarz, Poeta, Dziennikarz, Pan Młody, Rachela), dusza symbolistów i snobów.

Wyspiański przeszedł Maeterlincka. Pomogło mu w tem dziedzictwo sztuki polskiej, która nie pracuje w schematach psychologji ogólnoludzkiej, lecz narodowo dramat indywidualizuje, przepajając go krwawo treścią życia polskiego.

Dramat polski Polaka spowiada. Strzeżcie się poezji, ludzie z okaleczoną duszą, bo wasze widma poetyckie w przedłużeniach metafizycznych mogą świat przestraszyć, jeśli nie rozśmieszyć.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

UWAGĘ CAŁEGO SPOŁECZEŃSTWA zajął w ubiegłym tygodniu ruch „powstańczy“ młodzieży akademickiej, zwracający się przeciw zalewowi żydowskiemu na wyższych uczelniach. Z całą świadomością określamy ruch ten jako „powstanie“; słowo to najlepiej uwydatnia charakter i znaczenie zjawiska. Że ferment tego rodzaju jest możliwy, tłumaczy się to niezwykłemi warunkami, w jakich żyje Polska dzisiejsza. W perspektywie zdarzeń ostatniego tygodnia dostrzec można wybornie tę niezwykłość położenia, której dzień dzisiejszy nie stworzył, tylko ją powiększa i karykaturyzuje. Oto anormalna, w tym stopniu nigdzie indziej w Europie nieznana, przewaga żywiołu żydowskiego nad rodzimym w miastach. Oto naród, który, wracając do życia normalnego po bajecznych katastrofach i perypetjach historji, odbudowuje sobie cywilizacją miejską, od wieków nieprawdopodobnie słabą i ubogą. Nie naturalniejszego nad to dążenie, ale oznacza ono koniec roli, jaką żywioł żydowski odgrywał w życiu kraju. W usiłowaniu wywalczenie sobie pełnego i normalnego życia naród jest samotny: tak szczególnie rzeczy się dzisiaj składają. Dla przedstawicieli państwa, walka prowadzona przez naród o prawo do życia normalnego, nie wynaturzonego — jest walką o nic, obrazem niepotrzebnycb zamieszek. Oto najwyższa mądrość stanu dzisiejszych kierowników polityki oficjalnej. Najwięcej „barbarzyńskich“ starć wybucha oczywiście na wyższych uczelniach: tam, w wytwórniach inteligencji, niebezpieczeństwo zażydzenia występuje najdrastyczniej. Tam przygotowuje się warunki do tego, żeby nie było w kraju rzeczy normalnej: polskiej inteligencji, a rolę przeważną odgrywało coś bardzo odmiennego: inteligencja polsko-żydowska. Tam pielęgnuje się to rozdwojenie jaźni, na jakie już od pewnego czasu w sferze życia umysłowego cierpimy. Jakże zrozumiałe są odruchy młodzieży, która w środowisko uniwersyteckie wchodzi z ambicją stworzenia Polski normalnej w niedalekiej przyszłości! — Polska ta nastaje wprawdzie, ale przedewszystkiem jako objaw instyktownej prężności narodowej, nie jako wynik umyślnej akcji państwowej i politycznej. Polska ta w oczach młodzieży nastaje zbyt powoli. Odruchy mas akademickich nazwaliśmy „powstańczemi“. Takiemi są w istocie, w istocie bowiem nie nadała im impetu sprężyna organizacyjna. Nie znaczy to, oczywiście, aby organizacje, świadome niebezpieczeństwa żydowskiego, nie współdziałały wedle swej możności. Tak samo wybuchy narodowe na większą skalę, powstania przeciw zaborcom, organizowane były i przygotowywane na małej skalę. Jakże nikły jednak był ten element przygotowania w całości obrazu! Istotą położenia, nie czem innem, tłumaczył się żywiołowy charakter zdarzeń. W danym wypadku wynika on ze źle zorganizowanego obcowania ze sobą na uniwersytetach dwuch tak nieskończenie odrębnych społeczności, jak polska i żydowska. Wzburzenie mas akademickich i to też ma w sobie z ruchu powstańczego, że jest bezplanowe, jest przedewszystkiem protestem przeciwko potworności stanu rzeczy. Bez pomocy państwa masy te nie są zdolne zdziałać wiele. Tymczasem, jak wiadomo, urzędowem rozwiązaniem kwestji żydowskiej na wszystkich polach jest zanegowanie jej istnienia. Daje to pojęcie o sposobie, w jaki obóz sanacyjny traktuje kwestję żydowską, że jedyne dalej idące, choć częściowe, rozwiązanie, zaproponowane przez „Gazetę Polską“, polega na... zniesieniu autonomji wyższych uczelni. Jak dobrze odbija się w tym poglądzie dziwaczność sytuacji! Dowiadujemy się, że niszczenie elementów kultury ojczystej może być potrzebne do posunięcia kwestji żydowskiej ku rozwiązaniu i że na tej drodze jesteśmy. W „państwowej“ atmosferze takich projektów wzrasta młodzież akademicka. Nie przestanie tęsknić do przyszłej Polski normalnej.

DAWNIEJ przepracowywał się minister. Nie były to ostatecznie takie złe czasy. Dziś bowiem, jak wiadomo, „przepracowuje się“ tylko budżet, skutkiem czego wszyscy mają o wiele więcej wolnego czasu, a już zwłaszcza pracowitość sejmu ograniczona została do *minimum*.

Przez przymusowe skrócenie czasu, przeznaczonego na sesje budżetową, sprawiono wszystko, co można, żeby obrady były jaknajmniej wszechstronne i pogłębione. I, jak powiedzieliśmy, jaknajmniej pracowite. Ale nie zmienia się termin: urzędowo zawsze mówi się o „przepracowywaniu...“ Jednym z wielce charakterystycznych objawów w społeczeństwie, pozbawionem, jak nasze, tradycyjnych instytucyj w życiu publicznem, jest łatwość, z jaką upowszechniają się, przynajmniej w pewnych kołach, hasła, nawet komicznie pozbawione treści. Komizm ten (doraźnie przynajmniej) nie szkodzi. Oswoiło się z nim społeczeństwo. Werbalizm jest ogromnie znamienną cechą roboty państwowej obozu sanacyjnego: rozbrat między frazesem a rzeczywistością, przy wciąż troskliwem pielęgnowaniu frazesu.

Werbalizm taki, uwidoczniony na powyższym przykładzie, stał się nieodłączną cechą działania politycznego: zastępuje konsekwencję w robocie i szacunek dla instytucyj publiczno-prawnych. Weźmy bowiem pod uwagę bagaż haseł, z jakim przyszedł do władzy obóz pomajowy, — a spostrzeżemy, jak dalece werbalizm pokrywa działania tej grupy. Bez żadnej przesady stwierdźmy, że „sanacja“ co innego zupełnie oznaczała przed majem 1926, a co innego oznaczać zaczęła po przewrocie. Obóz przewrotu nadal jednak wierny jest hasłu „sanacji“. A „demokracja“? Przecież wbrew wszystkiemu nadal pozostaje zawołaniem, jednem z naczelnych, rządzącego obozu. Nie odpowiada słowu żadna treść publiczno-prawna; większość u nas nie rządzi, jak stwierdził w ostatniem przemówieniu poseł Sławek. Jeszcze mniej jesteśmy demokracją w sensie wyrobienia w masach poczucia odpowiedzialności za państwo: nietylko masy nie czują się odpowiedzialne za to, co się w państwie dzieje, ale i posłowie z BB nie wiele więcej czują się nią obarczeni. Tak dalece ezoteryczną i niedostępną dziedziną stały się sprawy państwowe dla wszystkich stojących zewnątrz. Czy wielu jest w BB posłów, którzy mogliby powiedzieć coś np. o nominacji p. Becka na ministra spraw zagranicznych? — ilu z nich poczuwa się do odpowiedzialności moralnej za bieg spraw w tak ważnym resorcie? A hasło: „wszystko dla państwa“: czy nie jest wcale głośnym przejawem werbalizmu? Tak jest zamaszyste, że nie obowiązuje do niczego. Jak wskazywaliśmy już na tem miejscu, nawet skromna prośba o „coś dla państwa“ w większym stopniu byłaby wezwaniem do ofiar-

ności, niż to czcze hasło. „Odpowiedzialność“: jakaż fikcja! żadne niepowodzenia nie skłonią same przez się obozu sanacyjnego do wyrzeczenia się władzy. Jest to „jedyny obóz polityczny“ w dzisiejszej Polsce: prawdziwą dumą jego jest nieopowiedzialność; czemuż nie śmie popisać się wyrazem tym przed społeczeństwem? Niektóre z haseł są rewelacyjnie nowe: przed paru dniami (6.XII) czytać można było, że w odróżnieniu od innych stronnictw obóz pomajowy posiada własną ideologję... „Sanacja“, „demokracja“, „odpowiedzialność“, „idea“: oto w skrócie obraz obozu rządzącego. Wielce to informacyjne, nieprawdaż? Jaki przeciętny, normalny jest stan rzeczy w Polsce dzisiejszej... Najświeższy atoli sukces święcił werbalizm w przemówieniu (wspomnianem już) posła Sławka na zjeździe legjonistów. Bardzo jasno brzmiały zdania: „Odrzucamy zarówno dyktaturę jak i terror...“, „Na system terroru i dyktatury nie idziemy...“ Jak dokładnie opisywały rzeczywistość polską! Obywatelski duch tych wypowiedzi przypomniał podobne enuncjacje generałów Uriburu w Argentynie, Gomezów w Chile, Montezów w Costaguanie. „Naturalnie, jesteśmy obozem rządzącym“ — zakonkludował pułk. Sławek, zmieniając niespodziewanie kierunek rozumowania... Wszędy obecny werbalizm tak znudził społeczeństwo, że prawie z niecierpliwością oczekuje ono nowej mowy, czy choćby wywiadu marsz. Piłsudskiego.

KRAKÓW — WYSPIAŃSKIEMU

DWUDZIESTOPIĘCIOLECIE zgonu St. Wyspiańskiego obchodził Kraków uroczyście w ciągu kilku ostatnich dni listopada. Obfity, nieraz przeładowany program uroczystości pozwolił nam rzucić okiem na całość dorobku wielkiego pisarza i wielkiego artysty.

Równomierne potraktowanie wszystkich działów pracy zmarłego przed ćwierćwieczem tragika uprzytomniło nam ogrom jego czynu, nietylko na polu teatru i poezji, ale i w dziedzinie plastyki, zdobnictwa, drukarstwa i in. Kto widział zgromadzone przez dyr. Schroedera w T-wie Przyjaciół Sztuk Pięknych dzieła malarskie (w ilości 195, nie licząc drobnych szkiców, rysunków szkolnych i t. p.) St. Wyspiańskiego, ten łatwo stwierdził, że malarz nie ustępował pisarzowi, że i w jednej i w drugiej dziedzinie był on genjalnym, nowe drogi torującym, arcypolskim twórcą.

Wystawa jubileuszowa objęła potężne projekty witrażowe (m. in. kartony do witrażów wawelskich), pyszne portrety pastelowe, pejzaże, studja, rysunki (do „Iljady“, „Legendy“ i t. d.), projekty dekoracyjne, rzeźby, szkice, grafikę, słowem, całą niemal, bogatą twórczość Wyspiańskiego — plastyka.

Niemniej okazale wygląda dorobek znakomitego dramaturga w dziedzinie sztuki drukarskiej. Pokaz druków i książek St. Wyspiańskiego, urządzony przez T-wo Miłośników Książki, z prezesem Kaz. Witkiewiczem na czele, w Miejskiem Muzeum Przemysłowem w Krakowie uprzytomnił nam rolę, jaką zmarły przedwcześnie artysta odegrał w dziele upowszechnienia piękna przez estetycznie wydaną książkę. Zewnętrzny kształt dzieła sharmonizowany z jego wewnętrzną treścią — oto zasada, której Wyspiański przez całe życie był wierny. Zebrane na wystawie pierwsze wydania dzieł poety oraz inne druki świadczą o tem, jak Wyspiański dbał o układ graficzny książki, o dobór czcionek, o przełamywanie kolumn i t. p. Nadto ujrzeliśmy w Muzeum Przemysłowem duży zbiór rozpraw, poświęconych twórczości Wyspiańskiego.

Wyspiańskiego — dramaturga uczcił godnie teatr krakowski im. J. Słowackiego, wystawiając „Wesele“ i „Wyzwolenie“ w opracowaniu scenicznem J. Osterwy oraz fragmenty: „Królowa Korony Polskiej — Śluby Jana Kazimierza“ i „Weimar“, Trwalszą jeszcze pozycją jest 100 stronicowa książka p. t. „Wyspiańskiemu — Teatr Krakowski“. Jest to starannie, na ładnym papierze wydany tom rozpraw, przyczynków i wspomnień o Wyspiańskim. Po raz pierwszy zostały w tem wydawnictwie ogłoszne dokumenty, oświetlające historję starań Stanisława Wyspiańskiego o dyrekcję teatru krakowskiego, listy poety, wnioski i przemówienia na Radzie Miejskiej i t. d., wśród wspomnień ciekawsze ogłosili: J. Nowak, St. Estreicher, A. Chmiel, J. Sosnowski, W. Siemaszkowa, I. Solska i in.

Tak w skrócie wyglądały te partje uroczystości krakowskich, gdzie Wielki Samotnik, stojący na przełomie dwu epok, sam bezpośrednio przemawiał do widza, czy słuchacza zapomocą swych dzieł. To też wypadły one najlepiej. Szkoda tylko, że nic nie zrobiono, ażeby uprzystępnić dzieła poety szerszym kołom społeczeństwa. W uroczystościach — z wyjątkiem pochodu na Skałkę, do grobu poety, kiedy to cały niemal Kraków wyległ na ulice — brała udział garść oficjalnych przedstawicieli, nie wyszło ani jedno tanie a starannie wydane dzieło Wyspiańskiego (malarskie czy dramatyczne), któreby rozpowszechniło znajomość jego twórczości wśród niespecjalistów.

Nie powstrzymali się natomiast mówcy obchodowi od swoistego interpretowania dorobku ideowego zmarłego pisarza. Każdy niemal objaśniacz urzędowy starał się z mniejszym lub większym smakiem związać działalność Wyspiańskiego z obozem piłsudczyków. Pan Kaden-Bandrowski poprostu powiedział, że jedynymi spadkobiercami wielkiego tragika są strzelcy, peowiacy i legjoniści. Ta nuta przewijała się poprzez wszystkie, jakże liczne (milczący Wyspiański został wręcz zagadany) przemówienia obchodowe. Im mniejsza figura anektowała Wyspiańskiego na rzecz rządzącego dziś obozu, tem czyniła to jaskrawiej, dobitniej, aby ją słyszeli obecni na uroczystościach dygnitarze.

W związku z 25-leciem śmierci St. Wyspiańskiego odbyły się w Krakowie zjazdy: plastyków i literatów, a młodzież akademicka uczciła pamięć Poety przez wmurowanie tablicy w gmachu Uniwersytetu i urządzenie cyklu poważnych odczytów: prof. Pigonia, prof. Skoczylasa, prof. Kołaczkowskiego i prof. Jachimeckiego.

T. B.

NAUKA I LITERATURA

NOWE PRACE O WYSPIAŃSKIM

WIADOMO, że żadnemu z pisarzy polskich XX wieku nie poświęcono tylu rozpraw, studjów, szkiców literackich i naukowych, co Wyspiańskiemu. O samem „Weselu“ istnieje literatura tak obfita, iż mogłaby zapełnić parę półek w bibljotece. Prof. Cywiński, przygotowując cenną pracę o „Symbolice Wesela“, drukowaną niedawno w „Myśli Narodowej“, przewertował ze sto chyba prac, dotyczących tego jednego dzieła — nieledwie tego jednego tematu. Do

jubileuszowe — można przypuszczać — powiększą znacznie, może w dwójnasób, dotychczasową bibljografję prac o Wyspiańskim. Narazie zanotować należy kilka książek i broszurek, które zdążyły wyprzedzić obchód jubileuszowy.

Wspomniana praca Cywińskiego powinna być dobrze znana uważnym czytelnikom naszego pisma; nie będę więc rozwodził sią nad jej treścią, zaznaczę tylko rezultat jej najważniejszy. Jest nim jakby kopernikańskie odwrócenie problematu Wernyhory i Chochoła. Pierwsza z tych dwóch zjaw uchodziła dotąd za symbol samych dodatnich pierwiastków, Chochoł zaś był rzekomo wyrazem samej negacji. Cywiński wykrył w Chochole pierwiastki pozytywne: obudzenie realnego czynu, przekreślenie jałowych mrzonek romantycznych, co więcej zaś: nadzieję odrodzenia. Chochoł osłania różę, by nie zmarzła na wietrze; spełnia więc rolę dobroczynną, kryje w sobie zadatek wiosny — nie w swej powłoce, lecz w swem wnętrzu. Świeżo podjęto znów na ten temat dyskusję, próbowano obalić tezę Cywińskiego, utrzymując, że Chochoł jest tylko słomą i nic w sobie nie zawiera... Hm!... Cóż w takim razie mają oznaczać słowa Poety: „Ktoś wyrwał krzew różany"? Gdyby sama słoma wchodziła do chaty, toby przecie krzew różany ostał w ogrodzie! A o różach przecie wciąż mówi poeta: „A gdyby tak ustroić się w róże!"... „buduję se gniazdo z róż, ciułam słomę z waszych strzech". To ustawiczne podkreślanie związku słomy z różą — świadczy najwyraźniej, że Chochoł ma tę właśnie rolę i znaczenie, jakie dostrzegł w nim Cywiński.

Broszurka Rajmunda Bergela „Dramat widmowy w Weselu" (Myślenice) jest fragmentem dużej pracy, którą oby jak najrychlej w całości ogłosił (inne fragmenty drukowały się w „Pamiętniku Literackim" i w „Myśli Narodowej") Bergel stoi wprawdzie na dawnem stanowisku w sprawie znaczenia Chochoła, przypisując temuż rolę negatywną, w przeciwieństwie do dodatniej rzekomo roli Złotego Rogu; pozatem jednak trafnie objaśnia zjawy II aktu, uciekając się do częstych analogij czyto z „Dziadami" czy z „Hanusią", gdzie stosunek świata ziemskiego do zaświata ma podkład równie symboliczny, a zarazem napoły realny.

Wielkiemi rozmiarami odznacza się praca W. Barbasza „Wyspiański na tle romantyzmu" (nakł. „Przeglądu Humanistycznego" we Lwowie). Temat książki podobny temu, który przed kilkoma laty rozwijał Stanisław Kolbuszewski. Barbasz ujął rzecz obszerniej i wszechstronniej, zajmując się kwestjami różnorodnemi. Trzy rozdziały poświęcił związkom twórczości Wyspiańskiego z poezją Słowackiego, zajmując się najpierw „Promieniami Lilli Wenedy", następnie „Rapsodami o Królach-Duchach", wreszcie zaś drobniejszemi reminiscencjami. Rozdział p. t. „Dramaty mickiewiczowskie" właściwie powinien być ujęty w dwa rozdziały odrębne, które autor zastąpił poddziałami: „Rozprawa z romantyką czynu mickiewiczowskiego" i „W kręgu Dziadów". Krasińskiemu najmniej miejsca poświęcono; mowa o nim w jednym tylko rozdziale pt. „Nowy Przedświt"; przygodnie jednak rozsiane są o nim wzmianki w innych rozdziałach. Najciekawsze są trzy rozdziały końcowe, gdzie już mniej słyszy się o szczegółach, i widać dążenie do syntetyzowania. Z romantyzmu (z „Dziadów" zwłaszcza, pomijając „Nieboską") wyprowadza Barbasz dramat wizyjny Wyspiańskiego, wykazuje jednak, w jak wielkiej mierze Wyspiański był oryginalny w tej dziedzinie. W szczególnie trudne sprawy wdał się następnie, usiłując dać zarys ideologji Wyspiańskiego; wyniki badania są niekiedy uderzające: „Wyspiański przeżył historję polskiej i europejskiej kultury w. XIX, przeżył wszystkie jej fazy" — nietylko romantyzm, ale i pozytywizm, i szkołę krakowską, i „modernę"; z każdej coś wziął i w każdej coś potępił.

Ostatni rozdział mówi o „Zależności (-(Wyspiańskiego)-) od romantyków na tle psychiki". Wykazuje tu autor szczególne podobieństwo Wyspiańskiego ze Słowackim. Choroba, trawiąca organizm obu tych twórców, odbiła się na sposobie pojmowania duszy ludzkiej — i dała niejednokrotnie podobne wytwory psychiczne w dziełach poetyckich.

L. Płoszewskiemu winniśmy szczerą wdzięczność, że odważył się podjąć wielce trudną pracę wydawniczą i wywiązał się z niej doskonale. Trudność była już w tem, że wydawcy pierwszych pięciu tomów „Dzieł" Wyspiańskiego narzucili całości wydania pewien schemat, który musiał krępować niezależnego od nich, tak w sądach jak i w metodzie pracy, wydawcę tomu VI. Takt Płoszewskiego, zarówno wobec czytelników, jak wobec poprzednich wydań, jest uznania najwyższego godzien. Ten badacz — sumienny i ścisły, jakich mało — nie bawi się w karkołomne hypotezy, nie stara się olśnić czytelnika erudycją. Gromadzi fakt za faktem, porównywa je z sobą ostrożnie, sprawdza, uwierzytelnia. Ostrożność to na miejscu, bo potknąć się łatwo. Wydawcy w tomach poprzednich szli po drodze gładko ubitej — zajmowali się dziełami, wydanemi przez samego poetę, a przynajmniej opracowanemi przezeń do druku. Płoszewski natomiast musiał iść przez gruzy i rumowiska różnych fragmentów i luźnych pomysłów. Ze zbożnem przejęciem pozbierał dwanaście koszów ułomków, jakie pozostały z biesiady, zastawionej przez wielkiego twórcę, oczyścił je z kurzu, szacunek im okazał. „Zygmunt August" w rekonstrukcji Płoszewskiego okazał się niemal całkowitym utworem, który tylko scenicznych desek oczekuje.

A te uwagi, te objaśnienia — jakie pyszne! Dyskretne, powściągliwe, a jakże zajmujące, jak pięknie napisane! Całość książki harmonijnie się przedstawia — już przez to, że nie rażą nas wydęte rozmiary, jakie widywaliśmy w tomie 3-cim, 4-ym i 5-ym. Czekamy z niecierpliwością tomów ostatnich: — i tego, w którym będą rapsody poety, i tego, który obejmie jego drobne formą, treścią jednak niekiedy najgłębsze utwory. (J. B.)

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Nakładem Gebethnera i Wolffa ukazała się książka, napisana przez Stanisława Dangla p. t. „Na drogach do odwetu" (Warszawa, 1931 r. str. 411). Książka zawiera bogaty materjał, udowodniający przygotowania Niemiec do wojny. Brak natomiast w książce gruntownych wniosków politycznych, któreby autor wyciągnął na podstawie zebranego przez siebie materjału. Pochodzić to musi z braku dostatecznego wyrobienia politycznego i niedostatecznej kultury myślenia politycznego, tak, niestety, często spotykanych u nas. Dowodem tego jest traktowanie przygotowań Niemiec do wojny, jako zbrodni, nie zaś, jako faktu, który należy tłumaczyć psychologicznie, aczkolwiek wykazuje on niezbyt jasne orjentowanie się Niemiec w ich sytuacji dzisiejszej. Również przejawem nie świadczącym o myśleniu politycznem jest traktowanie Rosji, jako sojuszniczki Niemiec w przyszłym konflikcie polsko-niemieckim. Dziś, po tem, co pisał Dmowski na ten temat, teza taka wymagałaby poważnych dowodów, a nie może być, jak to czyni autor, wysuwana, jako aksjomat. Razi również pewna chaotyczność w uszeregowaniu materjału faktycznego, co utrudnia korzystanie z książki. W każdym razie praca Dangla jest cennym materjałem dla każdego, zajmującego się stosunkami polsko-niemieckiemi. (J. P.)

*

Jak przed kilkoma laty żywe były dysputy na temat istoty i znaczenia baroku, tak od czasu jubileuszu Kochanowskiego odżył w literaturze naszej problemat renesansu. Pewną podnietę w tym kierunku dało nieprzestarzałe dzieło Burckhardta, które wydano ponownie w przekładzie Marji Kreczowskiej (Krak. Sp. Wydawn.). Książka ta jest w Polsce powszechnie znana, więc zbyteczną rzeczą byłoby pisać o niej samej; natomiast godzi się wspomnieć obszerną do niej przedmowę prof. Zygm. Łempickiego, która poddaje krytyce pewne poglądy Burckhardta (jego stosunek do średniowiecza, wprowadzenie Dantego do kultury „odrodzenia", przypisywanie zbyt wielkiej roli antykowi w stosunku do humanizmu i t. d.), a tem samem prostuje pewne błędy, jakie dzięki Burckhardtowi zakorzeniły się już w szerokich warstwach społeczeństwa. Przypomnieć należy, że prof. Łempicki jest ponadto autorem studjum o renesansie, oświeceniu i romantyzmie, które dało u nas impuls wszystkim niemal powojennym pracom na temat podobny. Dokoła różnych proble-

matów, wiążących się z renesansem, obraca się wiele prac zamieszczonych w obu księgach pamiątkowych Akademji Umiejętności, poświęconych Kochanowskiemu (Z. Łempicki „Renesans i humanizm w Polsce“, R. Pollak „Sonety Broccarda i Treny Kochanowskiego“, Dobrzycki „Kultura w XVI w.“ etc.). Najwydatniej jednak zajął się tą sprawą romanista krakowski, M. Brahmer, autor broszury p. t. „Problem renesansu we Włoszech współczesnych“ (Krak. Sp. Wydawnicza). Broszura ta nawiązuje do obu wspomnianych rozpraw Zygm. Łempickiego, korzysta zaś z pokrewnych sobie tematem prac Sainatiego i Sabbadiniego. Włosi—jak z ubolewaniem stwierdzają właśni ich pisarze — dotąd stosunkowo zamało zajmowali się zagadnieniem renesansu, zostawiając je obcym. Zmieniło się to ostatniemi czasy. Croce dał tu raczej impuls, Gentile zaś postawił sprawę na nowym gruncie, uwydatniając zwłaszcza oryginalność pisarzy odrodzenia w stosunku do pierwowzorów starożytnych. Za nim idą inni: Suitta de Lollis, V. Rossi. Szkole Gentilego przeciwstawia się z tomistycznego punktu widzenia ks. Olgiati, kładąc pierwiastek chrześcijański w podstawy Odrodzenia. Rolą Kościoła w rozwoju Odrodzenia zajął się gruntownie Toffanin, ujmując z nowego punktu zwłaszcza sprawę kontrreformacji. Rewizja poglądów odbyła się i w sferze źródeł humanizmu — badacze współcześni ograniczyli rolę udziału czynników obcych: wskazali, że odrodzenie miało podłoże w naturalnym rozwoju dziejowym narodu włoskiego. (J. B.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Dzieje niezwykłe własnego życia opowiada M a r c e l P o l a c k w książce p. t. *„Evasion“* — Autor jej, ślepy od najwcześniejszych lat, dzięki energji i odwadze swego ducha, po bohaterskiem przezwyciężeniu wszelkich trudności, stał się znanym w Paryżu adwokatem, broniącym u kratek sądowych swoich klijentów. O walkach stoczonych, by dojść do celu, opowiada w swej książce, którą kończy w ten sposób: „Cóż uczyniłem zdumiewającego? Nic nie wynalazłem nowego. Nie jestem zjawiskiem niezwykłem. Wspomagany przez tych, którzy mi ufali, chciałem osiągnąć własną niezależność. Zażegnałem zły los, żeby zostać tem, czem są inni“. Książkę poprzedza wstęp znakomitego adwokata, członka Akademji Francuskiej, Henri-Roberta. (W. J.)

*

Powieść pani J e a n n e N a b e r t p. t. *„Le Cavalier de la Mer“* (Plon édit.) rozgrywa się po wojnie 1870 r. Akcja rozwija się w miejscowości Bourg-le-Cap, gdzie zamieszkuje były lekarz marynarki, dorodny Gyonwa'ch, ze swą piękną żoną Tomine. Ta ostatnia jednak doprowadzi go do smutnych ekscesów. W Bourg-le-Cap żyje atoli stara panna, Sainte de Houlbec, zakochana od dawnych lat w lekarzu, gotowa dlań do wszelkich poświęceń, a nawet łagodząca spory rodzinne. Gyonwa'ch, odrywając się od szarzyzny i smutków codziennego życia, z pasją dosiadać będzie konia, zapuszczając się wraz z nim w rozszalałe fale oceanu, jakgdyby dla opanowania porywów, a może wspomnień własnej egzystencji. Autorka w sposób nie kobiecy naszkicowała tę sylwetkę oraz cały szereg bretońskich typów na tle tego jedynego w swoim rodzaju krajobrazu. (I. B.)

TEATR

„WESELE“

O WYSTAWIONEM w teatrze Narodowym „Weselu“ znajdzie czytelnik obszerniejszą recenzję w rubryce „Na widowni“. Tutaj parę słów tylko o teatrze.

Kierownik teatru, p. Ludwik Solski, nie zwątpił o Wyspiańskim, wystawił sztukę pieczołowicie, pewny tradycyj teatru krakowskiego i lwowskiego. Czołowi artyści podzielili się obsadą i grali znakomicie. Parą Państwa Młodych byli pp. Malicka i Leszczyński, a gospodarzem był Solski — tę samą rolę grał przed 30 laty. Jego żoną była p. Pancewiczowa; dziennikarza grał p. Brydziński, Nosa — p. Junosza-Stępowski, Rachelę — p. Lindorfówna, Marynę — p. Macherska, Stańczyka — p. Węgrzyn, Wernyhorę — p. Socha... Wymieniam kilka nazwisk, aby dać pojęcie, na jakiej wyżynie wykonania znalazła się sztuka.

Sposób wystawienia dramatu i pietyzm artystyczny reżyserji przynoszą zaszczyt dyrekcji teatru, artystom i reżyserowi. W.

OFENSYWA

WIERZ ALBO NIE WIERZ!

NA WZÓR amerykański!... Inaczej: „Ośla Łąka“. Albo: *Camera obscura.* Względnie zbiór *„curiosów“* czyli pokłosie nieprawdopodobieństw. Co miesiąc porcja. Wierz albo nie wierz! Zaczynamy:

W Lublinie wychodzi ku uciesze publiczności, z pozwoleniem zwierzchności, sanacyjno - komunizujący pissoirek tfórczości lokalnej pod tytulansem: „Barykady“. Niema w nim przecinków ani kropek, a nazwiska (słusznie) małą literą, redachtor jozef łobodowski.

Ostatnio na ostatniej stronie inserat:

„d a n c i n g b a r o a z a l u b l i n h o t e l e u r o p e j s k i p o l e c a s w ó j w y k w i n t n y l o k a l c z y t e l n i k o m „b a r y k a d“.

Bravo rumbarbary!

* * *

Ave Caesar Emerituri te salutant.

„W zakresie emerytur budżet przyszłoroczny wykazuje zwiększenie liczby emerytur cywilnych do 60.950, wojskowych do 15.770, czyli razem do 76.720 osób, t. j. o 6 tysięcy osób. Budżet emerytur nie obejmuje jednak emerytów przedsiębiorstw państwowych i monopoli: Globalna cyfra emerytów wynosi w roku bieżącym blisko 170.000 osób, w roku przyszłym dojdzie do liczby 190 tysięcy. Inwalidzi, weterani powstań narodowych, wdowy po politycznych skazańcach obejmują 260. tys. osób.

Ogólna liczba osób, pobierających zapłatę ze skarbu państwa, wynosi w budżenie tegorocznym 1 miljon osób, a w przyszłocznym wyniesie 1.020.000 osób. Okrągły miljon zatem, a razem z rodzinami 3 do 5 miljonów ludzi“.

* * *

Kraków czy Pokraków?

„To też wielką sensację w kołach arystokracji wywołał wypadek, że młody hrabia Stefan P., potomek jednej z magnackich rodzin, wniósł do starostwa w Krakowie podanie o zmianę nazwiska. Pokłóciwszy się z rodziną, hrabia na złość wszystkim krewnym, prosi o przemianowanie go na Kleinerman. Łatwo sobie wyobrazić, jak wielkie wrażenie wywarła w kołach arystokracji wieść o złożeniu takiego podania. Odbyło się posiedzenie rady familijnej wraz z przedstawicielami rodzin spowinowaconych. Postanowiono wydelegować dwu panów, by rozmówili się z hrabią Stefanem i nakłonili go do cofnięcia podania. Pozatem mają być przeprowadzone pertraktacje z prawdziwym Kleinermanem, by zechciał zgłosić protest, gdyż wiadomo, że każdy ma prawo sprzeciwić się, jeśli ktokolwiek zamierza przybrać jego nazwisko“.

* * *

W stolicy mocarstwa wychodzą także dwa organy sanatorskie, wydawane przez t. zw. Bebesynów. Jednym steruje ten nieszczęsny Jaworowski, który miał ładną kartę za sobą bohatersko-rewolucyjną („Walka“), drugim („Front Robotniczy“) najantypatyczniejsza figura Polski odrodzonej, *ex-bahnrath* galicyjski i c. k. socjalist, osławiony Moraczewski. Oba zmurszałe filary dawnej Piłsudczyzny traktują siebie nawzajem, jak dawniej traktowali siebie młodzieńcy z pod mostów. Przy Moraczewskim stoi „Wojtek“ Malinowski, przy Jaworowskim stał jakiś czas dr. chemji i herszt „pałkarzy“, skazany obecnie na rok Łokietek.

Po procesie Łokietka „Walka“ Jaworowskiego starała się go bronić i wybielać. Wobec tego *„faux pas“* jaworowych Bebesynów stracił cierpliwość dzielny Wojtek i wyrżnął „list otwarty“ do eksprezesa Rajmunda Jaworowskiego, gdzie był taki „ustęp“:

„W całem twojem życiu nie brak momentów tragicznych, a jednocześnie wesołkowatych, ale przecież starzejesz się i powinieneś się zastanowić, jaką pamięć zostawisz po sobie dla przyszłości. Że pracując dziś, jako działacz, nie gardzisz żadnemi środkami w walce, że kłamstwo, najdziksza demagogja, to codzienna broń w rękach Twoich“... etc.

Nie wstyd to, panowie szlachta, tak się *coram publico* demaskować? Cóż się potem i dziwić, że was się wypierają pp. Beck, Szembeck, i inni arystokraci?

* * *

Dokument autentycyny:

Kwatera Ziemi Stołecznej Legji Mocarstwowej, Warszawa, ul. Oboźna 1-3, tel. 609-15. Warszawa, dn. 20.X 1932 r. W. P.

1. W związku z rozpoczęciem się roku szkolnego P. W.łL. M. zarządzam odprawę Korpusu Dowódców L. M. na dzień 21.X 1932 r. o godz. 19.30. Celem odprawy będzie podział funkcyj w Korpusie Dowódców.

2. W niedzielę dn. 23 października b. r. o godz. 9-ej rano odbędzie się odprawa Korpusu Dowódców, na której będzie D-ca IV powiatu p. por. Potocki. W dniu tym proszę pp. Dowódców o przybycie w mundurach wojskowych, względnie organizacyjnych.

Dowódca Ziemi Stołecznej L. M.
(—) Plenkiewicz F.
podnamiestnik.

Odprawa całego Korpusu Dowódców...
Więc w mundurach „względnie organizacyjnych".
„Dowódca Ziemi Stołecznej". I zarazem „podnamiestnik"

* * *

„Do zebranych przemówili p. Medard Downarowicz i p. Puryński, wyrażając hołd Marszałkowi Piłsudskiemu.

„Wodzu — kończył przemówienie p. Downarowicz — Genjuszu Polski! Prowadź nas i buduj Polskę, a za Tobą pójdziemy wszyscy. Jesteś dla nas symbolem woli, symbolem Czynu i symbolem Zwycięstwa. Rządź nami, gdyż jesteś uosobieniem Niepodległości i pracy twórczej dla Państwa!"

Medard Downarowicz.

* * *

„W ostatnim czasie oddział łódzkiego towarzystwa opieki nad zwierzętami w Rudzie Pabjanickiej zwrócił uwagę na kilka straszliwie wynędzniałych koni rasowych, wałęsających się po polu wyścigowem, będących własnością Tow. Zachęty do Hodowli Koni i w obrębie stajen wyścigowych. Gdy przeprowadzono wywiad, celem ujawnienia właściciela koni i przyczyny, jaka spowodowała tragiczny stan zwierząt, zdołano ustalić, że sześć koni, w tem troje źrebiąt, stanowią własność posiadaczy majątku Rożenek w pow. Opoczyńskim, Rogowskiego i Sztromera, którzy, porzuciwszy majątek, udali się w świat i adres ich nikomu nie jest wiadomy. Zarząd Towarzystwa, widząc potrzebę szybkiego zlikwidowania krytycznego położenia koni, wydelegował swego inspektora do administracji placu wyścigowego, polecając mu zebrać szczegóły. Inspektor osobiście zwrócił się do administratora placu p. Nowikowa, legitymując się i oświadczając cel swego przybycia. P. Nowikow w toku rozmowy z inspektorem oświadczył mu, że nie posiadając ze strony swego Zarządu upoważnienia odnośnie do wyżywienia i przetrzymywania koni, nie stanowiących składu taboru lokalnego, nie mógł się niemi zająć, jedynie zezwolił na czasowe pomieszczenie w stajniach i wypuszczanie na plac wyścigowy, aby samodzielnie szukały pożywienia. Odbiło się to fatalnie na koniach, gdyż dwie rasowe angielskie klacze, będące na ożrebieniu, z głodu i zimna przedwcześnie porzuciły źrebięta, a w stajniach zjedzone zostały nawet drewniane przegrody."

A to bestje! A to ścierwo! A to szelmy!

* * *

Przez omyłkę...

„...ostatniemi czasy kroniki policyjne notują niebywałą ilość kradzieży mieszkaniowych, drobnych i większych oszustw, rabunków i t. p.

Podobno pozostaje to w związku z pewnemi „niedokładnościami" w dziedzinie wykonania dekretu o amnestji. Przy sposobności zwalniania z więzień, zwolniono mianowicie „przez pomyłkę" około 800 przestępców, którzy dokonują szeregu przestępstw przeciw siódmemu przykazaniu."

* * *

„Zebranie dyskusyjne u p. Marszałkowej Piłsudskiej na temat „Dziewcząt w mundurkach". Pani Marszałkowa Piłsudska żywo zainteresowała się przedstawieniem „Dziewcząt w mundurkach" w Teatrze Kameralnym i poruszonemi w niem problemami wychowawczemi. Wyrazem tego zainteresowania było zebranie dyskusyjne, które odbyło się wczoraj w Belwederze. Na zebranie to zaprosiła p. marszałkowa m. in. p. ministrową Jędrzejewiczową, wojewodzinę Twardo, dyr. Ambroziewicza i kilkanaście osób ze świata pedagogicznego. Z Teatru Kameralnego były obecne: utalentowana reżyserka p. Modrzewska i świetna interpretatorka roli przełożonej p. Kunina.

W dyskusji podkreślano wielką ważność wystawiania sztuk, poruszające tak życiowe sprawy, tudzież rozmawiano na temat zagadnień wychowawczych. Dyskusja trwała koło 2 godzin".

Nawiasem mówiąc, sztuka, o której mowa, porusza tematy podświadomej lezbijskiej miłości i została zakazaną w kilku miastach niemieckich.

* * *

Reduta Ordonki:

Czytamy w „Robotniku":

„Mało jest artystek, cieszących się tak niewykłem powodzeniem jak Hanka Ordonówna, jedyna w swoim rodzaju piosenkarka. Zarówno w utworach lirycznych, jak i lżejszych, o podkładzie charakterystycznym, jest ona tak swoista i tak niezastąpiona, że popularność jej rośnie z każdym rokiem. Przyczyny tego szukać należy jeszcze głębiej. Wśród wszystkich piosenkarek Warszawy, prócz jednej tylko Kalinówny, Ordonka nie obawia się głębszych tematów; z odczuciem i głębokiem zrozumieniem śpiewa pieśni pracy, pieśni pokrzywdzonych i wyzyskiwanych".

Podpisane I. K.

Nawiasem mówiąc, warszawska *diseuse* pobiera w „Bandzie" nieco wygórowaną gażę: 5.000 złotych polskich, to jest tyle ile 12 (dwunastu) radców M. S. Z. wspólnie.

Obecnie, jak donoszą żargonówki, wybiera się do Palestyny. Ale czy na stałe?

* * *

Pola Negri o „Pawiaku" Ordyńskiego (*Champ des fleurs. Krakau):*

W sanacyjnych gazetach amerykańsko-polskich pojawił się wywiad z księżną Mdivani, *primo voto* hr. Dąmbską, *neé* Chałupiec. Po prywatnem wyświetleniu filmu „Jedenastu z Pawiaka" w apartamentach hotelu „Ambasador" księżna mówiła:

„Ogromnie się cieszę, że producenci zaopatrzyli ten film polski w angielskie dopisy i temsamem umożliwiają i publiczności niepolskiej poznać to pierwszorzędne dzieło kinematograficzne wytwórni polskiej.

Pamiętam dramat i szczegóły wykradzenia „Dziesięciu z Pawiaka". Jako dziewczę młode nieraz oglądałam więzienie na ulicy Pawiej, gdzie najlepsi synowie Polski, ciemiężonej przez Rosjan, żegnali się z życiem i wolnością z uśmiechem na ustach, bo to było za POLSKĘ".

Film szedł przez 10 dni w St. Marks Teatre (IV klasa) po popularnych cenach 25 centów.

Nawiasem mówiąc, ani pan Ordyński, ani księżna nie mają jeszcze nawet „*Polonia Restituta*". Czyżby czekano aż wspólnie zrobią film ze swoich życiorysów?

* * *

Notatka bibljograficzna ze szmatek sanacyjnych:

„Oracz Andrzej. Rocznice. Warszawa 1932. Główna Księgarnia Wojskowa. Cena zł. 3.

Praca daje materjał, uwzględniający 4 uroczystości naszych dziejów najnowszych:

I — 19 marca na imieniny Wodza,
II — 6 sierpnia — czyn legjonów,
III — 17 sierpnia — zwycięstwo pod Warszawą, i
IV — 11 listopada — odzyskanie niepodległości.

Zebrany materjał na każdą z tych uroczystości składa się z prelekcji historycznej, przemówienia, obrazka scenicznego i wyboru okolicznościowych wierszy. Wiersze są pióra znanych naszych poetów: Or-Ota, Relidzyńskiego, Bogusławskiego, Mączki, Lechonia, Kowalskiego i innych".

* * *

Nieścisłości w tłumaczeniach.

Pat w telegramie podał przekład z artykułu „*Temps*'a" (3. L.) o zmianie na stanowisku m. s. z z takiem zdaniem:

— „Marszałek Piłsudski, bohater narodowy, utworzył prawdziwą dyktaturę, nie biorąc jednak na swe barki oficjalnej odpowiedzialności szefa rządu".

Natomiast w „*Temps*'ie" „stało" wyraźnie:

— „*...le marechal Pilsudski, qui fait figure de heros national...*"

Po polsku: „odgrywa rolę bohatera narodowego".

Pat powinien nie tylko służyć wiernie, ale tłumaczyć ściśle.

* * *

Dalszy ciąg takich „kawałków" i „kawałów" w styczniu.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

„Walka o wolność, się raz zaczyna...
Sto razy wrogów zachwiana potęgą
Skończy zwycięstwem...

A. Mickiewicz: „Giaur"

A pamiętajmy, że „giaur" znaczy poprostu: chrześcijanin.

*

Żydowski dziennik „5 rano" pisze:

„Wszędzie z uznaniem komentowano wiadomość o rewizji, jaka o godzinie 1-ej w nocy została dokonana przez policję w mieszkaniu znanego antysemity Jana Rembielińskiego (Bracka 10), redaktora endeckiej „Myśli Narodowej"...

„Wszędzie z uznaniem"... A mówią, że „sanacja" nie jest w społeczeństwie popularna, że jest odosobniona...

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45**.
Konto czekowe na P. K. O. **3.105**.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA RYCZAŁTEM OPŁACONA.